

Teraz wolne przed nami świąty i wolne kraje – gen. J. Haller

KOMBATANT

BIULETYN HISTORYCZNY Urzędu do Spraw Kombatantów i Osób Represjonowanych

ISSN 0867-8952

NR 02(410) LUTY 2025



14 LUTEGO

NARODOWYM DNIEM PAMIĘCI
ŻOŁNIERZY ARMII KRAJOWEJ



KOMBATANT

BIULETYN HISTORYCZNY
URZĘDU DO SPRAW KOMBATANTÓW
I OSÓB REPRESJONOWANYCH

ISSN 0867-8952

nr 02(410) luty 2025

dolącz do nas na facebooku i na X
  www.facebook.pl/udskior
<https://x.com/Kombatanci?mx=2>

Redakcja:

ul. Wspólna 2/4, 00-926 Warszawa

Redaktor naczelny:

Katarzyna Zientara-Majewski
e-mail: katarzyna.zientara@kombatanci.gov.pl

Opracowanie graficzne: Hanna Sater

Korekta: Norbert Nowotnik

Archiwalne numery „Kombatanta”

dostępne są na stronie www.kombatanci.gov.pl



Partnerem Projektu jest
Narodowe Archiwum Cyfrowe

Wydawca:

Urząd do Spraw Kombatantów
i Osób Represjonowanych
ul. Wspólna 2/4, 00-926 Warszawa
punkt informacyjny tel. 22 276 77 77
www.kombatanci.gov.pl

Druk: Centrum Obsługi Administracji Rządowej
ul. Powsińska 69/71, 02-903 Warszawa

Nakład: 3500 egz.



FOT. POCZTÓWKA Z OBRAZEM WOJCIECHA KOSSAKA

w numerze

4 Jałta znaczy „zdrada”

Gdy w Jałcie przywódcy mocarstw debatowali nad przyszłością Polski i Polaków, żołnierze 1. Dywizji Pancernej gen. Maczka parli w kierunku Niemiec, wyzwalając Europę Zachodnią

Waldemar Kowalski

9 Armia zdradzonych nadziei

Wielka Trójka zdecydowała w Jałcie o włączeniu Polski do sowieckiej strefy wpływów. Poczucie zdrady było tak dotkliwe, że trzydziestu oficerów i szeregowych żołnierzy 2. Korpusu Polskiego popełniło podobno samobójstwo

Dorota Gałaszewska-Chilczuk

12 Krwawe zaślubiny z morzem

Wyczerpani ciężką zimą i nieprzygotowani do przełamania umocnień Wału Pomorskiego w lutym 1945 r., żołnierze 1. Armii Wojska Polskiego ponieśli olbrzymie straty, dając przy tym dowody wielkiego męstwa

Piotr Korczyński

16 Teraz wolne przed nami świąty i wolne kraje – 105 lat temu odbyły się zaślubiny Polski z morzem

„Teraz wolne przed nami świąty i wolne kraje. Żeglarz polski będzie mógł dzisiaj wszędzie dotrzeć pod znakiem Białego Orła, cały świat stoi mu otworem” – powiedział 10 lutego 1920 r. w Pucku gen. Józef Haller

Katarzyna Krzykowska

19 Zaczęło się w lutym

Już po aneksji wschodnich województw Sowietci wtrącili do więzień tysiące ludzi, których uznali za wrogich wobec instalowanej władzy. Od momentu wybuchu wojny niemiecko-sowieckiej, przez sowieckie więzienia na Kresach przeszło ponad 100 tys. obywateli polskich

Anna Pyżewska

23 Pamięć, której nie strawił ogień

Ostatnie dni niemieckiej okupacji Łodzi były czasem niepewności. W mieście zapanowała nerwowa atmosfera. Władze zarządziły zaciemnienie. Miało to utrudnić Armii Czerwonej działania operacyjne, w tym bombardowanie miasta

Katarzyna Czekał-Kotynia

28 Gorący rok 1980

Na początku 1980 r. funkcjonariusze SB informowali o „częściowym wyhamowaniu aktywności” opozycji, co rzekomo wiązało się z „ożywieniem życia politycznego w kraju w związku z kampanią przedzjazdową”

Grzegorz Majchrzak

Okładka: FOT. AIPN

Rok 1945 kończył sześćoletnie zmagania z nazistowskimi Niemcami i ich sojusznikami. Los III Rzeszy był już przesądzony. W styczniu, po kilku miesiącach przerwy, została wznowiona sowiecka ofensywa. W ramach utworzonych dwóch frontów ukraińskiego i białoruskiego – podjęły działania 1, a potem 2 Armia Wojska Polskiego.

Prawda, że było to wojsko politycznie skrepowane sowieckimi decyzjami i dowodzone przez oddelegowanych z Armii Czerwonej oficerów. Nie można jednak umniejszać zasług czterystu tysięcy polskich żołnierzy walczących na froncie wschodnim. A były to często najcięższe i najkrwawsze walki, jakie toczyli Polacy podczas II wojny światowej. Z pewnością należały do nich przełamanie Wału Pomorskiego i zdobycie Kołobrzegu, o czym piszemy w niniejszym numerze „Kombatanta”. Przy okazji kołobrzeskich „zaślubin Polski z morzem”, wspominamy również wydarzenia sprzed ćwierć wieku, które miały miejsce w Pucku.

Załamywaniu się kolejnych niemieckich linii oporu towarzyszyły „marsze śmierci” więźniów obozów koncentracyjnych. Tam, gdzie ewakuacja była niemożliwa, więźniów bezlitośnie mordowano. Tak było np. w łódzkim obozie na Radogoszczu. Tragedię osób w nim uwięzionych opisujemy w kolejnym artykule. Po jego lekturze nieodparcie nasuwa się analogia z postępowaniem Sowietów w 1941 roku, choćby we lwowskich „Brygidkach”. Dokonywane przez NKWD masakry poprzedziły cztery deportacje obywateli polskich z okupowanych Kresów, przy czym pierwsza – z lutego 1940 roku –, ze względu na surową zimą, może być uznana za najdramatyczniejszą.

W wydanym numerze przypominamy także o tym, że w 1945 roku losy wojny i powojennej Europy ważyły się podczas dyplomatycznych negocjacji w Jałcie i Poczdamie. Głównym rozgrywającym był tutaj Stalin, który, niestety, decydował o powojennym kształcie terytorialnym i ustrojowym polskiego państwa. Naszym „sojusznikom” pozostawało jedynie branie za dobrą monetę zapewnień o przeprowadzeniu w Polsce wolnych i demokratycznych wyborów. Poczucie opuszczenia i zdrady było dotkliwie odczuwane przez żołnierzy Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie. Dla pochodzących z Kresów oznaczało to dodatkowo porzucenie nadziei na powrót w ojczyste strony.

Lutowy numer zamyka tekst przedstawiający sytuację społeczno-gospodarczą w Polsce w pierwszej połowie 1980 roku. Napięta atmosfera, liczne „przerwy w pracy” w zakładach i wzrastająca aktywność nielegalnych opozycyjnych organizacji, były – jak dziś wiemy – zapowiedzią wielkiego solidarnościowego zrywu.

Z przyjemnością zapraszam Państwa do lektury.



Lech Parell

*Szef Urzędu do Spraw Kombatantów
i Osób Represjonowanych*



TEKST | Waldemar Kowalski

Jałta znaczy „zdrada”

Gdy w Jałcie przywódcy mocarstw debatowali nad przyszłością Polski i Polaków, żołnierze 1. Dywizji Pancerniej gen. Maczka parli w kierunku Niemiec, wyzwalając Europę Zachodnią. Dla Stalina, Roosevelta i Churchilla, którzy 80 lat temu dogadali się za „naszymi plecami”, nie miało to jednak większego znaczenia...

W lutym 1945 roku tzw. Wielka Trójka zdecydowała o kształcie powojennej Rzeczypospolitej za Polaków, i to bez ich wiedzy. Utrata Kresów Wschodnich i perspektywa nowej, tym razem sowieckiej okupacji, były przesądzone. Nie dziwi zatem, że słowo „Jałta” stało się nad Wisłą synonimem politycznego układu w najgorszym tego słowa

znaczeniu. Nikt, komu bliskie były ideały niepodległości, nie miał wątpliwości, że Stany Zjednoczone i Wielka Brytania zdradziły nas na Krymie.

Rozgrywanie sprawy polskiej

Przedstawiciele mocarstw przypieczętowali los naszego kraju już dużo wcześniej. Sprawy polskie omawiano podczas konferencji Wielkiej Trójki

w Teheranie. Tam, w irańskiej stolicy, na przełomie listopada i grudnia 1943 roku, Stany Zjednoczone kierowane przez Franklina Delano Roosevelta – pod naciskiem Józefa Stalina, który pół roku wcześniej (po ujawnieniu grobów katyńskich) zerwał stosunki z Rządem Rzeczypospolitej Polskiej na Uchodźstwie – wyraziły zgodę na „korektę” granic RP.

Amerykański przywódca starał się skrzętnie ukryć ten fakt przed opinią publiczną. Szczególnie bał się reakcji... Polonii, o której głosy zabiegał przed zbliżającą się kampanią prezydencką. Do Jałty na Krymie Roosevelt jechał już pewny swego, wszakże 20 stycznia 1945 roku oficjalnie zainaugurował w Białym Domu swoją czwartą kadencję prezydencką.

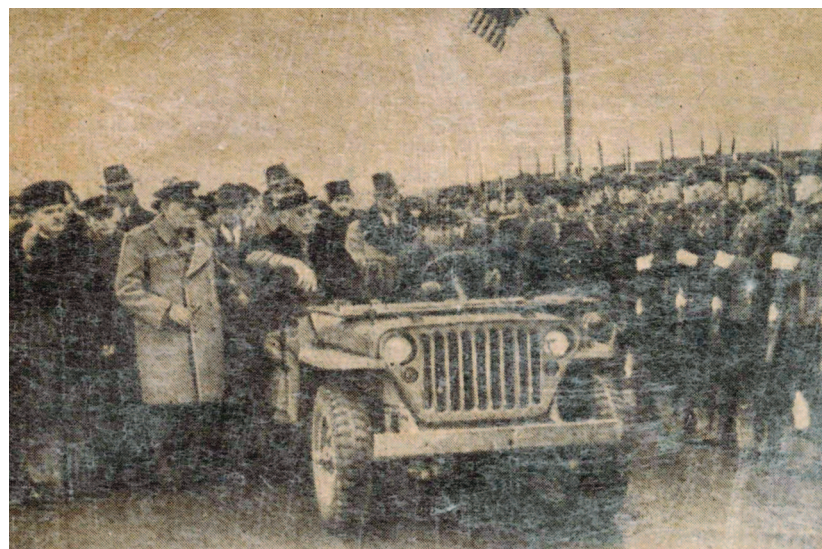
Dla USA, ale i Wielkiej Brytanii, poparcie dla rządu londyńskiego – wciąż oficjalnie uznawanego przez aliantów zachodnich – stawało się kłopotliwe. Nikt nie chciał „drażnić” Stalina, którego armia – idąc na zachód – odgrywała kluczową rolę w koalicji antyniemieckiej.

Na nic się zdały zapewnienia Churchilla, który już w Jałcie obiecywał, że sprawa polska to dla Wielkiej Brytanii sprawa honoru. Stalin jeszcze rozwinął ten wątek, podkreślając że „silna,

londyński i jego agenci w Polsce – szkodliwi – konstatawał Stalin.

Przywódca Związku Sowieckiego wypowiadał te słowa w chwili, gdy w Warszawie funkcjonował już kolaboracyjny, w pełni podporządkowany Moskwie, Rząd Tymczasowy RP, a sporą część ziem polskich – włącznie z Warszawą – opanowała Armia Czerwona. Fakty te stawiały Stalina w Jałcie na uprzywilejowanej pozycji.

Na nic się zdały zapewnienia Churchilla, który już w Jałcie obiecywał, że sprawa polska to dla Wielkiej Brytanii sprawa honoru



Uczestnicy konferencji zgodnie podkreślali, że kluczowym efektem ustaleń ma być utworzenie nad Wisłą nowego rządu jako reprezentacji wszystkich sił politycznych.

Strona sowiecka zaproponowała, aby „uznać za pożądane uzupełnienie Tymczasowego Rządu Polskiego niektórymi demokratycznymi działaczami z emigracyjnych kół polskich”. Rząd ten – argumentowano – cieszy się poparciem Polaków, które zyskał po przeprowadzeniu istotnych reform społeczno-gospodarczych w ogarniętym wojną kraju. Dlatego lepszym rozwiązaniem – w sowieckim ujęciu – byłoby poszerzenie składu istniejącego rządu, a nie powoływanie nowego. Koniec końców, pozostali alianci przyłączyli się do tej propozycji.

W końcowym komunikacie z konferencji wyjaśniono: *Nowa sytuacja stworzona została w Polsce w wyniku jej całkowitego oswobodzenia przez Armię Czerwoną. Wymaga to ustanowienia polskiego rządu tymczasowego, który może mieć szersze oparcie aniżeli było to możliwe przed niedawnym oswobodzeniem zachodniej Polski. Dlatego też rząd tymczasowy, który obecnie funkcjonuje w Polsce powinien być zreorganizowany na szerszej podstawie demokratycznej przy włączeniu przywódców demokratycznych z samej Polski i spośród*

Po przybyciu do Jałty prezydent USA F.D. Roosevelt i premier Wielkiej Brytanii W. Churchill dokonali inspekcji Honorowej Gwardii Moskiewskiej. Z lewej w futrzanej czapce minister spraw zagranicznych ZSRR W. Mołotow FOT. BIBLIOTEKA NARODOWA

niepodległa i demokratyczna Polska” leży... w interesie Związku Sowieckiego i jego bezpieczeństwa. Na szkodę państwa – zwrócił uwagę sowiecki dyktator – działają jednak „reakcyjne” polskie podziemie zbrojne do spółki z emigracyjnym Rządem RP. – *W ostatecznym wyniku z czysto wojskowego punktu widzenia, rząd warszawski jest pożyteczny, zaś rząd*

Rząd, ale jaki?

Spośród ogółem ośmiu posiedzeń plenarnych, aż sześć poświęcono na debatę nad losem Polski i Polaków. Jak podkreślił brytyjski premier, sprawa polska była „najpilniejszym powodem zwołania konferencji jałtańskiej i pierwszym z wielkich powodów, które doprowadziły do rozbitcia Wielkiej Koalicji”.

Polaków zagranicą. Ten nowy rząd powinien następnie być nazwany Tymczasowym Rządem Jedności Narodowej Polski.

Jak podkreślono, Tymczasowy Rząd Jedności Narodowej powinien być zobowiązany do „przeprowadzenia wolnych i nieskrępowanych wyborów możliwie najszybciej, na podstawie powszechnego i tajnego głosowania”.

Amerykanie byli niemal pewni, że w przyszłych – jak zakładano – wolnych wyborach, w Polsce zwyciężą siły demokratyczne, a więc prozachodnie. Czas pokazał, że w „warunkach sowieckich” takie wybory były mrzonką, a politycy z USA wykazali się wielką polityczną naiwnością.

Stalin zagarnia Kresy

Wątek przyszłych granic RP był kolejnym istotnym tematem rozpatrywanym w Jałcie. W tej kwestii Wielka Trójka w zasadzie potwierdziła ustalenia konferencji teherańskiej, co przesądziło o zaborze części przedwojennych ziem polskich.

Wątpliwości co do słuszności decyzji podjętych w irańskiej stolicy nie miał amerykański prezydent. Zgadzając się co do utrzymania tzw. linii

Curzona na wschodzie, rozważał jednak jej korektę, uwzględniającą przyznanie Polsce Lwowa i rejonu Drohobycz. Szybko jednak, pod naciskiem Stalina, z tego „śmiałego” pomysłu się wycofał.

Churchill, choć generalnie popierał Roosevelta, był wobec sprawy granic Polski bardziej powściągliwy. Jak podkreślał, przyszła Rzeczypospolita winna się odrodzić *w tej postaci, w jakiej jest ona interpretowana przez rząd sowiecki, to jest z pozostawieniem Lwowa przy Związku Sowieckim (...) pretensje Rosjan do Lwowa i do linii Curzona opierają się nie na sile, lecz na prawie.*

Jeśli chodzi o tzw. ziemie zachodnie, Amerykanie zgodzili się ideą oddania Polsce części Prus Wschodnich (na południe od Królewca), Górnego

Śląska i oparcie granicy o linię Odry. Mieli jednak poważne wątpliwości, co do poszerzenia obszaru przyszłej Rzeczypospolitej aż po Nysę Łużycką.

Według propozycji Władysława Mołotowa, na wschodzie należałoby przyjąć Linie Curzona z niewielkimi odchyleniami na korzyść Polski. Stalin i jego współtowarzysze podkreślali przy tym wagę ziem zachodnich – „odwieczne” polskich – jako zadłużenie za utratę Kresów na wschodzie.

W ostatecznym komunikacie w sprawie granic napisano: *Szefowie trzech rządów uważają, że wschodnia granica Polski powinna bieć wzdłuż linii Curzona z odchyleniami od niej w pewnych okolicach o pięć do ośmiu kilometrów na korzyść Polski. Uznają oni, że Polska powinna uzyskać istotny*



przyrost terytorialny na północy i na zachodzie.

Kapitulacja Zachodu

Arthur Bliss Lane, ambasador USA przy Rządzie RP na Uchodźstwie, z którego zdaniem Roosevelt i jego najbliżsi współpracownicy nie zamierzali się liczyć, nie krył rozgoryczenia decyzjami Wielkiej Trójki skazującymi Polskę na „pożarcie” Związkiem Sowieckiemu. Dyplomata nie miał wątpliwości, że ustalenia jałtańskie były „kapitulacją Stanów Zjednoczonych i Wielkiej Brytanii”.

Amerykaninowi wtórował jego odpowiednik w Waszyngtonie – Jan Ciechanowski. Jałta i wszystkie związane z nią bolesne dla Polski reperkusje były jego zdaniem wyrazem kapitulacyjnej polityki aliantów zachodnich

FOT. BIBLIOTEKA NARODOWA



Amerykanie byli niemal pewni, że w przyszłych – jak zakładano – wolnych wyborach, w Polsce zwyciężą siły demokratyczne, a więc prozachodnie

i przejawem głębokiego kryzysu amerykańskiego przywództwa.

Już 13 lutego premier Tomasz Arciszewski oświadczył: *Decyzje Konferencji Trzech dotyczące Polski nie mogą być uznane przez Rząd Polski i nie mogą obowiązywać Narodu Polskiego. Oderwanie od Polski wschodniej połowy jej terytorium przez narzucenie tzw. linii Curzona jako granicy polsko-sowieckiej Naród Polski przyjmie jako nowy rozbiór Polski, tym razem dokonany przez sojuszników Polski.*

W nocy emigracyjnego Rządu RP podkreślono również, że decyzje jałtańskie naruszają zasady Karty Atlantycznej. – *Zamiar trzech mocarstw*

utworzenia tymczasowego rządu polskiego jedności narodowej za pomocą uzupełnienia narzuconego Polsce komitetu lubelskiego przez bliżej nieokreślonych przedstawicieli demokratycznych partii politycznych polskich i osobistości z emigracji doprowadzić może jedynie do zalegalizowania mieszania się Sowietów w wewnętrzne sprawy Polski – alarmowano.

Dwa dni później Arciszewski ponownie zaprotestował przeciwko polityce faktów dokonanych, zastosowanej w Jałcie, grożąc uznaniem za zdrajców tych polityków, którzy wyjadą z Londynu do Warszawy, aby budować nowy rząd.

Tymczasem rozwiązanie osiągnięte w sprawie Polski Roosevelt uznał za... ważny kompromis i wybitny przykład współdziałania trzech alianckich mocarstw. – *Jestem przekonany, że będziemy mieli stabilniejszą politycznie Europę aniżeli kiedykolwiek w przeszłości* – podkreślał już po powrocie z Krymu Roosevelt.

Na łup bolszewikom...

Gdy tylko wiedza o ustaleniach krymskich przedostała się do opinii publicznej, wśród Polaków zawrzało. Prasa emigracyjna wprost pisała o zdradzie aliantów i sprzedaniu Polski Stalinowi. Mistrz pióra red. Zygmunt Nowakowski gorzko ocenił „dokona-



4–11 lutego 1945 roku spotkanie przywódców koalicji antyhitlerowskiej podczas konferencji w Jałcie FOT. DOMENA PUBLICZNA



FOT. APN

nia” Roosevelta i Churchilla: *W Jalcie siadło do gry dwóch amatorów z zawodowcem i to szulerem. Wstali od stołu bez portek.* Feliks Konarski, autor słów do słynnej pieśni „Czerwone Maki na Monte Cassino”, swoje rozgoryczenie przełał na papier, pisząc wiersz „Jałta”.

Decyzje z Jałty mocno oburzyły gen. Władysława Andersa, który groził nawet bojkotem walk na froncie włoskim. Dowódca 2. Korpusu Polskiego nie mógł być zdziwiony zachowaniem Stalina, sam bowiem doświadczył sowieckich „porządków”, tak samo jak jego żołnierze, czyli Polacy zwolnieni z łagrów. Głośno skrytykował jednak postawę USA i Wielkiej Brytanii.

– *Wobec tragicznego komunikatu ostatniej konferencji trzech w Jalcie, melduję, że II Korpus nie może uznać jednostronnej decyzji, oddającej Polskę i Naród na łup bolszewikom. Zwróciłem się do władz sojuszniczych o wycofanie oddziałów Korpusu z odcinków bojowych. Nie mam sumienia żądać w obecnej chwili od żołnierza ofiary krwi* – pisał generał w telegramie do prezydenta Władysława Raczkiewicza.

21 lutego Anders rozmawiał w Londynie z samym Churchilllem. Polski dowódca w cztery oczy „wygarnął” brytyjskiemu premierowi, co sądzi o zdradzie interesów Polski.

Myśmy wschodnich granic Polski nigdy nie gwarantowali. Mamy dzisiaj dosyć wojska i waszej pomocy nie potrzebujemy

Winston Churchill

Przebieg rozmowy generał odtworzył na łamach swych wspomnień: *Uważam, że stało się wielkie nieszczęście. Na takie załatwienie sprawy naród polski nie zasłużył i my walczący tutaj nie mogliśmy oczekiwać. (...) Rosja Sowiecka, która do roku 1941 była w ścisłym sojuszu z Niemcami, zabiera nam obecnie połowę naszego terytorium, a w pozostałej części Polski chce ustanowić swoje rządy. Wiemy z doświadczenia do czego to zmierza.*

Słowa dowódcy 2. Korpusu wywołały złość u Churchilla: – *Myśmy wschodnich granic Polski nigdy nie gwarantowali. Mamy dzisiaj dosyć wojska i waszej pomocy nie potrzebujemy. Może Pan swoje dywizje zabrać. Obejdziemy się bez nich.*

Zaledwie kilka dni później po rozmowie z Churchilllem, 26 lutego, gen. Anders objął obowiązki Naczelnego Wodza (gen. Tadeusz Bór-Komorow-

ski znajdował się w niemieckiej niewoli), co było swoistą manifestacją sprzeciwu rządu londyńskiego wobec zmywu aliantów.

Smutne wiadomości z Krymu dotarły zimą 1945 roku także do gen. Stanisława Maczka i jego żołnierzy (1. Dywizja Pancerna) zimujących w Bredzie. Dla dowódcy „czarnej dywizji”, kresowianka z krwi i kości, było to szczególnie bolesne.

Jak pisał we wspomnieniach: *Wrażenie w wojsku było ogromnie przynębiające. Co dalej? Jak zachwianym w pewności stał się ten marsz poprzez pokonane Niemcy do Polski, w co dotychczas święcie wierzyliśmy. Marsz rozpoczęty w Normandii, marsz do naszych domów, z których wiele znalazło się teraz poza linią „Curzona”. Ale! Nie potrzebowałem robić ankiety wśród żołnierzy moich, zasięgając ich opinii – co dalej! Czyż nie byłem jednym z nich? Oczywiście będziemy się bili dalej.*

W końcowej deklaracji z Jałty wyrażono życzenie, że przyszła Polska będzie państwem „silnym, niepodległym i demokratycznym”. Był to jednak, jak wiemy, pusty zapis. Brak jakiegokolwiek wzmianki w ostatecznym komunikacie o legalnym Rządzie RP w Londynie, wskazywał na zupełne przewartościowanie dotychczasowej polityki Zachodu.

Niestety, nie był to kierunek dobry dla Polski. Rację miał przychylny nam ambasador Lane, który stwierdził, że wspomniana polityka „porzuciła Polaków na pastwę Stalinowi”.

Przysłowiową „kropkę nad i”, pieczętującą tragiczny los Rzeczypospolitej, Wielka Trójka postawiła w Poczdamie już po zakończeniu działań zbrojnych w Europie. Polakom, walczącym z Niemcami od pierwszego do ostatniego dnia wojny, zwycięstwo nad III Rzeszą smakowało wyjątkowo gorzko. ■



Armia zdradzonych nadziei

TEKST | Dorota Gałaszewska-Chilczuk

Z rozgoryczeniem i zdezorientowaniem przyjęli walczący we Włoszech żołnierze armii gen. Andersa wieści, że w Jałcie Wielka Trójka zdecydowała o włączeniu Polski do sowieckiej strefy wpływów. Poczucie zdrady było tak dotkliwe, że trzydziestu oficerów i szeregowych żołnierzy 2. Korpusu Polskiego popełniło podobno samobójstwo.

Przeszli przez trzy kontynenty, aby walczyć o wolność Polski, do której nigdy nie doszli... Najpierw doświadczyli koszmaru deportacji w głąb Związku Sowieckiego, gdzie śmierć i głód towarzyszyły im każdego dnia. Następnie dzięki gen. Władysławowi Andersowi wyszli z nieludzkiej ziemi, by na froncie włoskim zapisać piękną kartę bojową.

Polska armia powstała w sierpniu 1941 roku na mocy podpisanego 30 lipca 1941 roku polsko-sowieckiego porozumienia nazywanego układem Sikorski-Majski. Zawarto go po niemieckim ataku na Związek Sowiecki i po-

nownym nawiązaniu stosunków dyplomatycznych między polskim rządem gen. Władysława Sikorskiego a Moskwą. Uzupełnieniem była umowa wojskowa z 14 sierpnia. Zgodnie z tymi dokumentami władze sowieckie na mocy „amnestii” zwolniły Polaków więzionych w Związku Sowieckim i pozwoliły na tworzenie wojska polskiego.

Na czele polskich oddziałów podporządkowanych rządowi Rzeczypospolitej Polskiej na uchodźstwie stanął gen. Władysław Anders zwolniony z więzienia NKWD na Łubiance. Do punktów werbunkowych w Tatiszczewie koło Saratowa i Tockoje w rejonie

Buzułuku zaczęli przybywać Polacy zwalniani z łagrów, więzień i obozów, nie tylko żołnierze, lecz także tysiące cywilów. Na miejscu panowały ciężkie warunki. Obozy wojskowe były przełudnione. Brakowało wszystkiego. Szerzyły się choroby. Mimo to Polakom udało się zorganizować dwie dywizje piechoty: 5. Kresową i 6. Lwowską.

- Pociąg zatrzymał się na stacji w Buzułuku, wyjrzałem przez okno i ku swojemu zdumieniu zobaczyłem żołnierza w polskim mundurze. Wy-skoczyłem z wagonu i od tego kaprała dowiedziałem się, że trwa nabór do polskiego wojska – tak swą drogę do

2. Korpusu Polskiego wspominał ppłk Marian Tomaszewski, żołnierz 6. Pułku Pancernego „Dzieci Lwowskich”. Pod koniec 1939 roku aresztowali go Sowieci i zesłali do Kazachstanu. Pracował w kopalni węgla w Karagandzie, skąd po napaści Niemiec na Rosję Sowiecką w 1941 roku udało mu się uciec. Gdy został żołnierzem gen. Andersa miał 19 lat.

Ewakuacja oznaczała życie

Osiemnastoletni Artur Gruber, jeden z tysięcy Polaków uwięzionych po 17 września 1939 roku w sowieckim gułagu, wspominał, że kiedy stanął przed wojskową komisją lekarską, wyglądał jak szkielet odziany w łachmany. „Niemiłosiernie brudny szkielet” – dodał. Młody lekarz, który go badał, w pewnym momencie zapytał swego starszego koleżę: „Dlaczego oni wszyscy mają takie czerwone kropki, jedną przy drugiej?”. Ten lekarz musiał przybyć z Wielkiej Brytanii, bo gdyby był jednym z zesłańców czy łagierników w Rosji, wiedziałby, że to ślady po ukąszeniach wszy... Tak wyglądała większość osób w punktach rekrutacyjnych Armii Andersa.

W początkowym okresie z powodu braku obuwia około 60 proc. żołnierzy nie brało udziału w ćwiczeniach. Sytuacja była bardzo trudna ze względu na brak dostatecznej ilości podstawowego sprzętu, jak choćby męażek, których Sowieci nie dostarczyli. W związku z tym żołnierze musieli codziennie czekać w długich kolejkach na zmianę męażek i łyżek. Przydzielona żywność nie była dostarczana w odpowiedniej ilości. W tej sytuacji wycieńczeni dwuletnią poniewierką oraz fatalnym wyżywieniem w obozach i więzieniach sowieckich żołnierze polscy bardzo powoli wracali do sił. Istotnym problemem okazało się zapatrzenie w świeże warzywa w związku z tym żołnierzy powszechnie dotykała awitaminoza. Sowiecka „amnestia” nie objęła wszystkich polskich

więźniów, do wielu nie dotarły informacje o zwolnieniach, Sowieci opóźniali też dalszy pobór i mimo rosnących szeregów polskiej armii nie zwiększali przydziałów żywnościowych. W grudniu 1941 roku do obozu

Brytyjscy politycy i wojskowi nie mieli wątpliwości, jaki los czekał większość Polaków, jeśli dłużej pozostaliby w Związku Sowieckim. – *Rosjanie żywili orientalną pogardę do wartości życia ludzkiego, nieomal nie-*



Armia Polska na Bliskim Wschodzie. FOT. NARODOWE ARCHIWUM CYFROWE (WWW.NAC.GOV.PL)

w Tockoje w ogóle nie dotarły obiecane transporty z żywnością, a żołnierze marzli w namiotach przy kilkudziesięciostopniowych mrozach.

Sytuacji nie poprawiła dyslokacja armii do Uzbekistanu, Kirgizji i Kazachstanu pod koniec grudnia 1941 roku. Wprawdzie żołnierze i ich rodziny nie byli już wystawieni na mrozy, ale szybko zaczęły ich dziesiątkować choroby zakaźne. Na epidemie tyfusu zmarło około 10 tys. żołnierzy i cywilów. Znacznie pogorszyły się też warunki zakwaterowania, a przede wszystkim wyżywienie. W lutym 1942 roku władze sowieckie zażądały jak najszybszego skierowania polskich żołnierzy na front. Generał Anders odmówił tłumacząc, że oddziały nie są jeszcze gotowe do walki. W odpowiedzi Kreml zmniejszył racje żywnościowe dla polskiej armii z 40 do 26 tys. Sytuacja stała się tragiczna, ponieważ polskie dywizje liczyły już ponad 65 tys. żołnierzy i utrzymywały dodatkowo dziesiątki tysięcy cywilów.

pojętą dla ludzi Zachodu, i zabicie kilku tysięcy Polaków – nie mówiąc już o tym, że ofiarami mieli być „wrogowie klasowi”, ze wzgardą odrzucający wszelkie próby marksistowskiej indoktrynacji – nie stanowiłoby dla nich żadnego problemu – zauważał gen. Noel Mason-MacFarlane.

Pierwsze rozkazy o ewakuacji ze Związku Sowieckiego gen. Anders wydał jeszcze w Moskwie, 19 marca 1942 roku. Miała ona przebiegać przez bazę w Krasnowodzku. Pierwszy transport odpłynął stąd 24 marca do Iranu. Na pokładzie statków panował ścisk, pasażerów nękały choroba morska i czerwotka. Brakowało wody i urządzeń sanitarnych. – *Na pokładzie sowieckiego tankowca opuszczaliśmy bez żalu kraj niespełnionych nadziei i bardzo smutnych, szarych ludzi. Pozostawiliśmy po sobie cmentarz. Epidemie tyfusu płamistego i brzuszego oraz krwawej dyzenterii zbierały obfite żniwo wśród wycieńczonych Polaków. Niektórzy twierdzą, że spoczy-*

wa ich tam więcej niż pod górą Monte Cassino. Drugiego dnia wieczorem ujrzeliśmy brzegi Iranu. Port Pahlewi był skąpo oświetlony światłem elektrycznym. Po zejściu na ląd, słysząc polską mowę uwijających się sanitariuszy przyjmujących chorych z naszego transportu, poczułem się jak w Polsce, wśród swoich, bezpiecznie – wspominał Artur Gruber. Z kolei Pinkas Rosengarten, rabin Wojska Polskiego, wspominał, że rejs po wzburzonym Morzu Kaspijskim zniszczonym statkiem towarowym robił wrażenie ostatniego etapu cierpienia w „czerwonym raju”.

Na nadbrzeżu irańskim czekały na Polaków już brytyjskie służby sanitarne, które od razu udzielały niezbędnej



Generał Władysław Anders dokonuje inspekcji oddziałów Armii Polskiej w Związku Radzieckim
FOT. NARODOWE ARCHIWUM CYFROWE (WWW.NAC.GOV.PL)

pomocy, dostarczając wodę, żywność i lekarstwa. Przystąpiono również do dezynfekcji przybyłych, grupując ich w namiotowych miasteczkach na plaży. Brytyjski oficer płk Aleksander Ross raportował przełożonym, że wizytując szpitale polowe uzmysławiał sobie, „jakich niezastużonych trudów i fizycznych cierpień doświadczyli” Polacy. Podnosił również kwestię ich zdrowia, ponieważ obawiano się, że aż 25 proc. z nich umrze.

W kwietniu 1942 roku zakończył się pierwszy etap ewakuacji Armii Polskiej ze Związku Sowieckiego na Bliski

Wschód. Do Iranu wydostało się prawie 44 tys. Polaków. Drugi rzut ewakuacji odbył się w sierpniu. W sumie z nieludzkiej ziemi wyjechało ponad 115 tys. osób: około 78,5 tys. żołnierzy gen. Władysława Andersa oraz 37 tys. cywilów, z których połowa to dzieci i młodzież. Dla większości z nich był to ratunek przed pewną śmiercią. Generał stał się mężem opatrnościowym, którego żołnierze traktowali jak Mojżesza, który wyprowadził ich z „domu niewoli”. Powstała w ZSRS Armia Polska stała się główną siłą utworzonego 21 lipca 1943 roku w Iraku 2. Korpusu Polskiego, największej jednostki Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie.

Na nieludzkiej ziemi pozostało kilkaset tysięcy Polaków. Niestety, Sowieci uznali, że wraz z wyjściem armii Andersa zakończyła się akcja werbunkowa do polskiego wojska, zamknęli punkty rekrutacyjne i zaprzestali zwalniania Polaków z więzień i obozów. Część z nich wstąpiła później do Armii Polskiej w ZSRS, sformowanej pod dowództwem polskich komunistów.

Są twardzi jak gwoździe

– Nieraz już po przybyciu do Teheranu ludzie umierali wskutek wycieńczenia i długotrwałego głodu podczas dwuletniego pobytu w Rosji sowieckiej. W ciągu kilku tygodni las przeszło tysiąca krzyży pokrył cmentarz polski w Teheranie. Zmarł także mój adiutant i serdeczny przyjaciel sprzed wojny porucznik Zygmunt Kostakiewicz, któremu cudem udało się wydostać z łagrów sowieckich – pisał gen. Anders. Po kilkumiesięcznym szkoleniu na pustyniach Iranu i Iraku i odbudowie sił był warszawski korespondent „Daily Mail” Stefan Kleczkowski zanotował opinię jednego z brytyjskich dowódców, który o polskich żołnierzach powiedział: „Są twardzi jak gwoździe, a ich zdyscyplinowanie rzuca się w oczy”.

Polskim żołnierzom towarzyszyły tysiące wyczerpanych cywilów, którzy

na Bliskim Wschodzie w kolejnych miesiącach stworzyli namiastkę wolnej Polski z własną prasą, szkolnictwem, z teatrami i drużynami harcerskimi. Wielu odzyskiwało siły w obozach dla wygnańców rozsianych od Meksyku po Nową Zelandię.

W Iranie dla polskich żołnierzy rozpoczął się szlak bojowy prowadzący przez Bliski Wschód do Włoch. Tam w maju 1944 roku, 2. Korpus pod dowództwem Andersa zdobył niemiecką twierdzę na Monte Cassino, która broniła dostępu do Rzymu. W bitwie zginęło blisko tysiąc polskich żołnierzy, prawie trzy tysiące zostało rannych, a kilkuset uznano za zaginionych. Ich dalszy szlak bojowy wiódł przez Ankonę, Loreto i zakończył się wyzwoleniem Bolonii w kwietniu 1945 roku. Dla byłych więźniów stalinowskich gułagów było to słodko-gorzkie przeżycie. Z jednej strony cieszyli się, że przynosili wolność innym narodom, ale z drugiej było przykro, że nie były to ulice polskich miast...

Żołnierze Andersa nie dostali szansy walki z Sowietami o swój kraj. Pochoźący z Nowogródka na dawnych polskich Kresach kpt. Władysław Dąbrowski, który brał udział w całej kampanii włoskiej, wspominając walki z Niemcami powiedział: *Po Syberii my nie patrzyliśmy na nic, musieliśmy ich dobrze „prać”*. *Szkoda, że nie mieliśmy okazji Sowietów.*

Koniec marzeń

Dla „Andersowców” dyktat jałtański oznaczał koniec znanego im świata. Kresy, skąd pochodziła większość żołnierzy 2. Korpusu, zostały oddane Związkowi Sowieckiemu, a reszta kraju znalazła się w sowieckiej strefie wpływu. Mimo wielu sukcesów odniesionych w walkach na frontach II wojny światowej, bohaterstwa, a nawet heroizmu i ofiar, Polacy nie wzięli udziału w defiladzie zwycięstwa w Londynie 8 czerwca 1946 roku.

Krwawe zaślubiny z morzem



TEKST | Piotr Korczyński

Osiemdziesiąt lat temu – od końca stycznia i prawie przez cały luty 1945 roku 1. Armia Wojska Polskiego prowadziła ciężkie boje o przełamanie Wału Pomorskiego. Jego umocnienia były dla żołnierzy polskich niemiłym zaskoczeniem. Wyczerpani ciężką zimą i nieprzygotowani do przełamywania umocnień, ponosili olbrzymie straty, dając przy tym dowody wielkiego męstwa.

Zdobycie Wału Pomorskiego kosztowało 1. Armię Wojska Polskiego ponad 5600 poległych, rannych i zaginionych! To były statystyki rzadko spotykane na froncie zachodnim, lecz niestety na wschodzie stanowiły normę. Sowietów nie przejmowały straty żołdatów z Armii Czerwonej, tym bardziej nie martwiły ich rzezie polskich żołnierzy. Dowództwo 1. Armii było w większości sowieckie,

lecz żołnierze jej dywizji prócz nie-szczęśników, o których mówiło się, że w Związku Sowieckim nie zdążyli do Andersa, pochodzili z polskich Kresów i terytorium tzw. Polski Lubelskiej. Wielu z nich miało za sobą akowską przeszłość, zdarzali się między nimi też powstańcy warszawscy.

Wstępowali oni w szeregi 1. Armii ratując się w ten sposób przed represjami NKWD i Smierszu, a jednocze-

śnie pragnąc dalej walczyć przeciw niemieckim okupantom. Na Wale Pomorskim z okrzykiem „Za Polskę” szli niemal z gołymi rękami, bez rozpoznania na bunkry i zapłacili za to straszną daninę krwi.

Ci, którzy przeżyli, usłyszeli od swych dowódców, że oto teraz szerokim frontem wejdą na Bałtyk – od Kołobrzegu do Stepnicy, oczyszczając ten teren z niemieckich niedobitków.

Słowem – czekać ich miał „spacer” ku morzu po krwawej batalii...

Festung Kolberg

Rzeczywistość miała okazać się zupełnie inna. Mimo klęsk ponoszonych przez armię niemiecką na wszystkich frontach, Hitler wciąż był przekonany o tym, że możliwe jest odwrócenie losów wojny. Swą wiarę opierał nie tylko na rojeniach o cudownej broni, lecz także „cudownych precedensach” z historii Niemiec. Jednym z takich precedensów były losy pruskiej twierdzy Kolberg – czyli Kołobrzegu, który w 1807 roku wytrzymał wielomiesięczne oblężenie osiemnastotysięcznego korpusu francuskiego generała Édouarda Mortiera. Miasto szturmował także należący do korpusu polski 1. Pułk Legii Poznańskiej. Wtedy jednakże Kołobrzeg był potężną twierdzą, co w 1945 roku należało już dawno do przeszłości.

berg” – opiewającym oblężenie miasta w 1807 roku (film premierę miał 30 stycznia 1945 roku) – kategorycznie się temu sprzeciwił. 28 lutego 1945 roku komendantem miasta został płk Fritz Fullriede, który odznaczył się m.in. podczas walk pod Arnhem, a więc jednego z ostatnich zwycięstw Wehrmachtu. Wydał on rozkazy wstrzymujące ewakuację załogi Kołobrzegu i rozpoczynające przygotowania do

Mimo klęsk ponoszonych przez armię niemiecką na wszystkich frontach, Hitler wciąż był przekonany o tym, że możliwe jest odwrócenie losów wojny

gnistym parkiem w dolinie rzeki Parsęty i basenem portowym, natomiast od południa rozległą podmokłą równiną trudną do pokonania przez czołgi i inny sprzęt ciężki.

Pułkownik Fullriede w samym mieście polecił rozbudować trzy pierścienie obrony: pierwszy długości około ośmiu kilometrów biegł przez przedmieścia, drugi otaczał główne dzielnice miasta, a trzeci osłaniał port. Załogę tak umocnionej twierdzy stanowił stary garnizon miasta, zasilony rozbitymi oddziałami, które zdołały się tu przedrzeć z Pomorza oraz pospolitym ruszeniem – Volkssturmem. Razem było to około osiem tysięcy żołnierzy.

Rozkaz: zdobyć z marszu!

Tymczasem dowództwo sowieckie, a tym bardziej 1. Armii WP, nic o tym nie wiedziało. Jej dowódca, generał Stanisław Popławski, 6 marca 1945 roku rozkazał swemu prawemu skrzydłu, a więc 6. i 3. Dywizji Piechoty „rozwinąć natarcie, wejść na Bałtyk w pasie około 25 kilometrów i oczyścić ten teren łącznie z Kołobrzegiem do 8 marca”. Żołnierze dostali więc na wykonanie tego zadania dobę, a zajęcie Kołobrzegu bezpośrednio przypało 6. Dywizji Piechoty dowodzonej przez pułkownika Gienadija Szejpaka.

Kiedy 7 marca pierwsze oddziały dywizji podeszły pod miasto, okazało się, że utknęła tu już sowiecka 45 brygada pancerna – jej czołgi bezskutecznie próbowały zdobyć Kołobrzeg z marszu. Powtarzała się sytuacja z Wału Pomorskiego. Polscy żołnierze zlizowali sowieckich pancerniaków i bez rozpoznania następnego dnia uderzyli na miasto od strony południowo-wschodniej; od wschodu atakowała sowiecka 272. Dywizja Piechoty. Oba natarcia, źle przygotowane i przeprowadzone, załamały się, a pierwszorzutowe pułki – 16 i 18 – 6. Dywizji zostały zdziesiątkowane.

Jasnym stało się, że o żadnym zajmowaniu Kołobrzegu i oczyszczaniu



Żołnierze 16. Pułku Piechoty. Pierwszy z lewej Józef Kwiatkowski FOT. Z ARCHIWUM JÓZEFA NOWAKA



Edward Róg (w środku) z kolegami z oddziału, 1944 r. FOT. Z ARCHIWUM EDWARDA ROGA

Mimo przygotowań do obrony, w mieście bardziej myślano o ewakuacji, która zresztą trwała już w ograniczonym zakresie, lecz führer – dodatkowo zainspirowany filmem „Kol-

obrony. Miasto pozbawione było wszelkich umocnień stałych, ale już jego samo położenie stwarzało szansę do obrony. Od północy Kołobrzeg osłonięty jest morzem, od zachodu ba-

go z niedobitków nie może być mowy, że oto na drodze polskiego wojska stanęli zdeterminowani do walki obrońcy twierdzy. Po pierwszych meldunkach o sytuacji, gen. Popławski pchnął na pomoc 6. Dywizji 3. Dywizję Piechoty płk. Stanisława Zajkowskiego oraz artylerię z 2. Brygady Artylerii Haubic, 5. Brygady Artylerii Ciężkiej i 1. Pułku Moździerzy. Mimo tego polskie siły nie były w stanie przełamać dobrze zorganizowanej i koordynowanej obrony. Po prostu polscy żołnierze w większości nie mieli doświadczenia w walkach ulicznych – najcięższych i najkrwawszych, jak zgodnie przyznają wszyscy frontowcy. Starty były więc ogromne i wciąż rosły, gdyż ich dowódcy sowieckim zwyczajem się nimi nie przejmowali. Rugani ze sztabu za brak postępów wciąż ponawiali frontalne ataki na nieprzyjacielskie umocnienia.

Jedenaście krwawych dni

W końcu jednak postanowiono zmienić taktykę walki. Zamiast rzucać do walki zwarte oddziały, w polskich dywizjach zaczęto organizować drużyny szturmowe, składające się z żołnierzy piechoty, artylerii i saperów, wyposażone często w zdobyczne pancerfausty – broń niezwykle skuteczną w walkach z umocnionymi pozycjami nieprzyjaciela, jak bunkry i barykady. A walczone często o każde piętro zrujnowanych kamienic. Tworzyły się tak zwane przekładańce – na przykład na pierwszym piętrze Polacy, drugim Niemcy, na trzecim znowu Polacy – wszyscy strzelający z peemów i obrzucający się granatami.

Pułkownik Józef Koleśnicki, w bitwie o Kołobrzeg młody dowódca plutonu w 5. Brygadzie Artylerii Ciężkiej, tak wspomina tę sytuację: *Jednego razu założyliśmy punkt obserwacyjny w wysokim budynku. W oknie rozstawiliśmy lornetę nożycową. Mieliśmy za zadanie wypatrywać stanowisk niemieckich i podawać namiary na nie*

przez radiotelegrafistę. Wiele niemieckich punktów oporu znajdowało się w silnie umocnionych budynkach, wiele w uprzednio przygotowanych betonowych bunkrach. To były nasze główne cele. Ponieważ nie jedliśmy od trzech dni, wydałem kilku żołnierzom rozkaz poszukania jakiegoś pożywienia. Udało się im znaleźć coś w piwnicach budynku. Kiedy najedliśmy się do syta, zmógł nas sen. Byliśmy niewyspani, przemęczeni. Jak się obudziliśmy, to okazało się, że Niemcy weszli do budynku pod nami i wciągają działa. Wtedy mój żołnierz, kapral Gruszka rzucił na dół granat, coś krzyknął po niemiecku – nie pamiętam już co. Niemcy uciekli, a my szybko pobiegliśmy za nimi, bo nasza artyleria zaczęła strzelać w ten budynek.

– Innym razem miałem sprawdzić, w których budynkach są Niemcy, a w których nasi żołnierze. Na taki zwiad zawsze brałem kaprala Gruszkę i radiotelegrafistę. Przechodzimy koło ratusza i nagle natykamy się na nie-



Plutonowy Józef Nowak
FOT. Z ARCHIWUM JÓZEFA NOWAKA

mieckiego grenadiera gotowego do strzału. Kapral Gruszka szedł za mną. Zanim zdążyłem zareagować, to Niemiec już zwałił się na ziemię. To kapral Gruszka do niego strzelił. Gdyby się spóźnił, to nie byłoby już mnie wśród żywych. Kapral miał refleks rewolwerowca! – dodał.



Zmiana taktyki zaczęła przynosić efekty, ale dla gen. Popławskiego, ruganego przez głównodowodzącego frontu marsz. Żukowa za brak postępów, były one zbyt wolne, więc 12 marca rzucił do boju o Kołobrzeg kolejne siły: 4. Dywizję Piechoty gen. Bolesława Kieniewicza, 4. Pułk Czołgów Ciężkich oraz 15. i 18. Pułk Artylerii Przeciwlotniczej. Po przegrupowaniu polskie jednostki uderzyły na

pozycje obrońców ze wszystkich stron i ponawiały natarcia przez kolejne dni i noc. W mieście rozpętało się prawdziwe piekło – artyleria wszystkich kalibrów i ciężkie czołgi torowały piechocie drogę, obracając Kołobrzeg w ruinę. Jednak mimo nawoływań do kapitulacji płk Fullriede nie zamierzał poddawać twierdzy. Wręcz przeciwnie – wzmocnił załogę posiłkami przywiezionymi przez okręty Kriegsmarine

na pozycjach niemieckich i odgłosy maszyn okrętowych uświadomił im co się dzieje. Natychmiast ruszyło natarcie, ale po krótkiej walce z grupami osłonowymi okazało się, że jednostki ewakuacyjne Kriegsmarine są już daleko w morzu. Mimo to Polacy mogli świętować sukces – cały Kołobrzeg znalazł się w ich rękach.

Wieczorem tegoż 18 marca na wieży latarni morskiej zawisła biało-czerwona flaga, a żołnierze wzorem gen. Józefa Hallera z 10 lutego 1920 roku dokonali zaślubin z morzem. Aktu tego dopełnił kpr. Franciszek Niewidziajło z 7. Pułku Piechoty. Wrzucając złoty pierścień do wody, głośno zawołał: *Po ciężkim krwawym trudzie doszliśmy do ciebie morze. Widzimy, że nie na marne poszła nasza krew. Przysięgamy, że już nigdy cię nie opuścimy. Rzucam ten pierścień w twe fale, poślubiam cię, jakżeś było i będziesz nasze.*

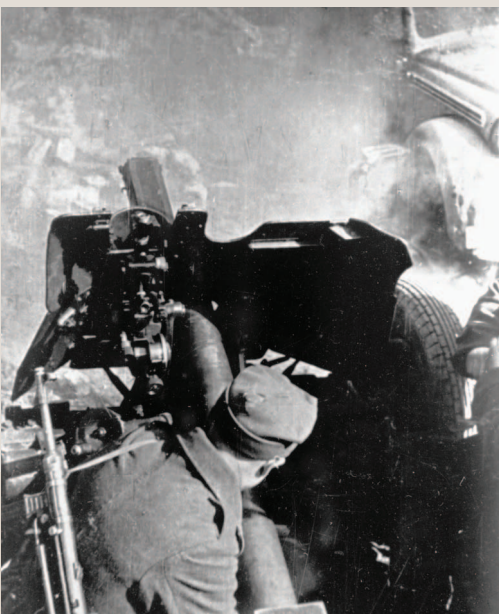
To zwycięstwo istotnie okupione zostało krwawymi stratami. Bitwa o Kołobrzeg trwała nie dwa, jak planowało dowództwo armii, lecz jedenaście dni. W ciężkich bojach Polacy stracili 1266 poległych i zaginionych oraz 3138 rannych. Straty niemieckie szacowane są na około 2300 zabitych, rannych i zaginionych. Bitwa o Kołobrzeg była pierwszym sukcesem operacyjnym 1. Armii WP, jej samodzielną walką. Obnażyła ona wiele niedostatków tej armii z brakiem doświadczenia w walkach ulicznych na czele, ale jednocześnie pokazała bezprzykładne bohaterstwo polskich żołnierzy. Nadrabiali swe niedostatki odwagą i uczyli się walki ulicznej kosztem ogromnych strat – do takiego poświęcenia są zdolni żołnierze świadomi sprawy, o jaką walczą. Powtórzmy raz jeszcze, że szli oni do natarcia i ginęli z okrzykiem: „Za Polskę”... ■

Cytaty pochodzą z rozmów autora z weteranami oraz z jego książki „15 sekund. Żołnierze polscy na froncie wschodnim”.

W mieście rozpętało się prawdziwe piekło – artyleria wszystkich kalibrów i ciężkie czołgi torowały piechocie drogę, obracając Kołobrzeg w ruinę

marine morzem, między innymi ze Świnoujścia przybył batalion alarmowy „Kell” składający się z kilku kompanii fortecznych. Zresztą niemiecka marynarka nie tylko pełniła rolę transportową, lecz ogniem dział okrętowych skutecznie wspierała obrońców. Wobec tego Żukow na pomoc Polakom wysłał 6. Brygadę Artylerii Rakietowej – osławione Katiusze, zwane przez Niemców „organami Stalina” i lotnictwo.

W krwawych i nieustannych bojach, polscy żołnierze 16 marca dotarli do ostatniej pozycji obronnej nieprzyjaciela. W rękach Niemców pozostawał już tylko port i kilka kilometrów plaży. Wobec tego płk Fullriede podjął decyzję o ostatecznej ewakuacji twierdzy, którą wyznaczył na noc z 17 na 18 marca. Polscy żołnierze, wyczerpani i skrwawieni ciągłymi bojami nie zorientowali się na czas w zamiarach nieprzyjaciela. Dopiero nad ranem 18 marca wzmożony



W niezwykle ciężkich walkach o znakomicie ufortyfikowany Kołobrzeg zginęło ponad tysiąc polskich żołnierzy. Stanowisko artylerii polskiej
FOT. PAP



18 marca 1945 r. Polacy zdobyli miasto i port w Kołobrzegu. Zaślubiny z morzem na plaży kołobrzeszkiej
FOT. PAP

TEKST | Katarzyna Krzykowska

Teraz wolne przed nami światy i wolne kraje

– 105 lat temu odbyły się zaślubiny Polski z morzem

„Żeglarz polski będzie mógł dzisiaj wszędzie dotrzeć pod znakiem Białego Orła, cały świat stoi mu otworem” – powiedział gen. Józef Haller dokonując symbolicznych zaślubin Polski z morzem.

Tego dnia w Pucku padał deszcz. Tłum dostojników pod parasolami asystował w symbolicznej akcji zaślubin Polski z morzem. Ceremonialnego rzucenia w wody Zatoki platynowego pierścienia, dokonał generał Józef Haller. Na sygnał admirała Kazimierza Porębskiego, komendę do podniesienia bandery podał 25-letni oficer marynarki Eugeniusz Pławski. Ten sam, który 23 lata później na Atlantyku, jako dowódca ORP „Piorun”, stanął na drodze „Bismarcka” – pancernego kolosa Kriegsmarine – czytamy na stronie Muzeum Marynarki Wojennej w Gdyni.

10 lutego o świcie gen. Józef Haller wraz z delegacją wsiadł do pociągu w Toruniu. Najpierw zawitali do Gdańska, gdzie na dworcu starosta pomorski dr Józef Wybicki (krewny twórca polskiego hymnu) wręczył Hallerowi dwa platynowe pierścienie wykonane specjalnie na ceremonię zaślubin z morzem na koszt gdańskich Polaków. Później delegacja pojechała do Pucka.

Na ozdobiony flagami narodowymi pucki dworzec, specjalnym pociągiem przybył gen. Haller. Wojskowego powitały pododdziały wszystkich rodzajów broni ze sztandarami i z orkiestrami oraz liczne delegacje więk-

szych miast, wraz z mieszkańcami okolicznych miejscowości. Główne uroczystości zaślubin z morzem odbyły się nad Zatoką Pucką, gdzie wokół wysokiego masztu ustawili się chorążowie ze sztandarami pułkowymi.

– Do Pucka przybył pociąg o g. 3 pp. Gen. Haller przeszedł przed frontem kompanii honorowej, poczem wśród niemiłknących entuzjastycznych okrzyków ruszono ku morzu, gdzie wznosił się wysoki maszt. Dookoła tego masztu zebrali się chorążowie ze sztandarami pułkowymi. Pierwsze przemówienie wygłosił gen. Haller, a następnie głos zabrał mini-

ster spraw wewnętrznych Stanisław Wojciechowski. Po poświęceniu przez duchownych polskiej bandery morskiej, pośród odgłosów salw wciągnięto ją na szczyt masztu. Wojska oddały honory, a kapele odegrały hymn narodowy. Chorążowie pochylili sztandary ku falom morskim i zanurzyli je z lekka na znak powitania morza polskiego przez polskie sztandary – relacjonował „Kurjer Polski”.

Na wieczne posiadanie

W uroczystościach wzięli udział najwyżsi dostojnicy państwowi, jak Wincenty Witos, Stanisław Wojciechowski, Ignacy Daszyński, Maciej Rataj. Nie zabrakło także kontradmirała Kazimierza Porębskiego, gen. Kazimierza Sosnkowskiego oraz delegacji z Francji, Wielkiej Brytanii i Włoch. Przybyła również istotna reprezentacja Pomorza, Kaszubów, w tym wojewoda pomorski Stefan Łaszewski, wybitni działacze ruchu polskiego z puckiego powiatu (Antoni Abraham, Antoni Miotk i Teofil Baniecki) oraz liczni mieszkańcy z regionu i Polski.

W kulminacyjnym momencie uroczystości gen. Haller wjechał konno do morza i wrzucił w fale jeden z wręczonych mu platynowych pierścieni, drugi zakładając sobie na palec. – *Pomysł św. przemówiłem krótko, wskazując dobitnie na ważność morza i na znak wiecznego zaślubienia Bałtyku Rzeczpospolitą Polską rzuciłem pierścień platynowy, otrzymany przez polską ludność Gdańska, a wręczony mi przez starostę Wybickiego, wnuka generała Wybickiego, który skomponował dzisiejszy polski hymn* – wspominał gen. Haller przed mikrofonem Redakcji Polskiej Radia Wolna Europa.

Pierścień rzucony przez generała Hallera nie wpadł do wody, lecz zatrzymał się na warstwie lodu. – *Wybiegło za nim kilku rybaków w strojach morskich, rzuciło się, żeby ten pierścień pochwytać* – opowiadał. Generał zapytał ich, czy udało im się od-

naleźć pierścień. Odpowiedzieli, że nie, ale na pewno będą mieli go w Szczecinie. Na pamiątkę uroczystych zaślubin postawiono słup z wyrytym napisem: „Roku Pańskiego 1920, 10 lutego Wojsko Polskie z gen. Józefem Hallerem na czele objęło na wieczne posiadanie polskie morze”.

Polska wraca do morza

Następnego dnia generał przybył do Wielkiej Wsi (obecnie Władysławowo), by wraz z kaszubskimi rybakami w należącem do Jakuba Myślisza kuterze „Gwiazda Morza” wyruszyć w pierwszy po Bałtyku rejs pod polską banderą (uszytą przez żonę Jakuba – Annę). Myślisz dowiedziawszy się podczas uroczystości zaślubin od proboszcza parafii w Swarzewie ks. Pronobisa, że generał Haller wraz z towarzyszącymi osobami chciałby odbyć rejs po „pełnym morzu” udał się pieszo do Helu, gdzie stacjonował jego kuter. Zabrał ze sobą siekiere do wyrąbania kutra z lodu. 11 lutego poprowadził swój kuter na wysokość Wielkiej Wsi. – *Polska wraca do morza! Fakt to dziejowej doniosłości tak olbrzymiej, że niewiele ma sobie równych. Wprawdzie niewielki to, nadto skąpy ułamek wybrzeża, który nam przyznano. Potężne centrum handlowe Gdańsk usunęły zazdrość i krótkowzroczność dyplomacji z pod pełni władzy polskiej. Ale dla narodu świadomego swych celów nie ma przeszkód nieprzezwycięzonych* – podkreślono w artykule „Sztandary polskie nad Bałtykiem” w „Kurjerze Poznańskim”.

Ceremonię zaślubin poprzedzał trwający miesiąc pochód polskich wojsk przez Pomorze. Zadanie przejścia tamtejszych ziem, otrzymali generałowie – wspomniany już Haller (Front Pomorski) i Józef Dowbór-Muśnicki (Front Wielkopolski). 17 stycznia 1920 roku zajęto Działdowo i Golub. – *Wreszcie spełniło się najgorętsze życzenie wszystkich. W dniu 17*

stycznia wkroczyła do Golubia armia Hallera. Szał radości ogarnął ludność. W uniesieniu zasypywano kwiatami żołnierzy polskich i witano ich chlebem i solą. Ci, co przeżyli ten moment najwyższej ekstazy patriotycznej, tę najpiękniejszą chwilę w tyłowiekowych dziejach Golubia, nie mogą wyrazić ogromu przeżycia wewnętrznego – pisał w monografii miasta z 1939 roku Artur Reiske.

18 stycznia wojsko polskie wkroczyło do Brodnicy, Lidzbarka oraz jednego z najważniejszych miast regionu – Torunia. Trzy dni później gen. Haller opublikował odezwę do mieszkańców, ogłaszając przyłączenie Pomorza do Polski. – *Przed Wami dzisiaj otwiera się epoka nowego życia i świetności nowego wieku złotego Zygmunta i Batorych, kiedy Wisła i nasze morze staną się znowu łącznikiem Polski z całym światem* – ogłosił. 20 stycznia wojska Dowbora-Muśnickiego weszły do Bydgoszczy.

Powrót po 126 latach

Proces przejmowania ziem od Niemców przebiegał bardzo sprawnie. Ludność niemiecka na ogół zachowywała się dość spokojnie. Inaczej wyglądało nastawienie wycofujących się niemieckich żołnierzy, którzy odgrążając się, że jeszcze tu wrócą, dopuszczali się licznych prowokacji, w niektórych miejscach zostawiali bomby zegarowe i zaminowywali teren. Pomiędzy 25 a 31 stycznia wojska Frontu Wielkopolskiego zajęły Świecie, Tucholę, Chojnice i Brusy. Żołnierze Frontu Pomorskiego w dniach 25 stycznia – 9 lutego wkroczyli do miejscowości Laskowice, Skórcz, Gniew, Pelplin, Starogard, Tczew, Kościerzyna, Kartuzy, Wejherowo oraz przez Jastarnię do Helu.

Powrót nad Bałtyk trwał jednak znacznie dłużej, niż te kilka tygodni. Polska utraciła dostęp do morza wraz z drugim rozbiorem w 1793 roku. Dopiero 126 lat później, na mocy pod-

pisanego w czerwcu 1919 roku traktatu wersalskiego, odrodzone państwo polskie formalnie uzyskało dostęp do Morza Bałtyckiego. Polsko-niemieckie



wpływów niemieckich, ale prawdziwe poparcie przyszło z Atlantyku. W działalność KNP zaangażował się mieszkający w USA jeden z ojców polskiej niepodległości Ignacy Jan Paderewski. Wykorzystując swoją popularność zdołał dotrzeć do prezydenta USA Thomasa Woodrowa Wilsona, u którego skutecznie lobbował za sprawą polską.

8 stycznia 1918 roku amerykański prezydent wygłosił przed Kongresem 14-punktowe orędzie. W 13. punkcie swojego planu poruszył sprawę polską. – *Powinno być ustanowione niepodległe państwo polskie, które winno obejmować ziemie zamieszkałe przez ludność bezspornie polską, mieć zapewniony wolny i bezpieczny dostęp do morza* – powiedział wówczas amerykański przywódca. Przemówienie streszczało 14 punktowy plan powojennego uporządkowania świata.

Ilustracja z publikacji „Pamiętka dziesięciolecia wkroczenia wojsk polskich do Torunia i dziesięciolecia zaślubin Polski z morzem” autorstwa Tadeusza Pietrykowskiego, wyd. 1930

negocjacje dotyczące realizacji zapisów traktatu trwały kilka miesięcy. 25 listopada 1919 roku w Berlinie podpisano „Umowę o wycofaniu wojsk z odstąpionych obszarów i oddaniu zarządu cywilnego”. Władzę nad nadmorskimi terenami Polska mogła objąć od 10 stycznia 1920 roku, kiedy postanowienia wersalskie wchodziły w życie.

Sprawa posiadającej swobodny dostęp do morza niepodległej Polski była przedmiotem konsensusu wszystkich najważniejszych i zaangażowanych w odbudowę państwa polityków polskich.

O odbudowę niepodległego państwa polskiego zabiegał od samego początku u zachodnich mocarstw utworzony w 1917 roku Komitet Narodowy Polski. Zarówno Francja, jak i Wielka Brytania widziały w odrodzonym kraju szansę na ograniczenie

Po odzyskaniu przez Polskę niepodległości państwo już oficjalnie przystąpiło do działania. Ostatecznie udało się uzyskać zaledwie 147 km wybrzeża, w którego granicach zabrakło Gdańska. Ten niezwykle ważny ośrodek gospodarczy, polityczny i społeczny, przed wiekami był największym miastem Rzeczypospolitej Obojga Narodów – niemal dwukrotnie większym od ówczesnej stolicy, czyli Krakowa. Warto również dodać, że Gdańsk był pierwszym w historii Polski miastem, które przekroczyło liczbę 50 tys. mieszkańców. Teraz jako Wolne Miasto pozostać miał pod protektoratem Ligi Narodów. – *Pomimo wielkiego zaangażowania polskich polityków, w tym Romana Dmowskiego i Ignacego Paderewskiego, który podkreślał szczególnie znaczenie Gdańska – okna, bez którego nie mogłaby Polska oddychać, Gdańsk nie znalazł*

się w granicach odradzającego się państwa polskiego, otrzymał status Wolnego Miasta pod zarządem Komisarza Ligi Narodów – przypomina IPN.

Na mocy postanowień traktatu, Polsce przypadła część ziem utraconych w wyniku rozbiorów – większą część Pomorza Wschodniego i prawie całą Wielkopolskę. Jego zapisy przewidywały przeprowadzenie plebiscytów na Górnym Śląsku, Warmii, Mazurach i Powiślu.

Port w Gdyni

Odradzające się państwo potrzebowało jednak nie tylko samego dostępu do wód Bałtyku, ale i portu morskiego z prawdziwego zdarzenia. Polskie władze doskonale rozumiały tę potrzebę, dlatego już w 1920 roku inż. Tadeusz Wenda otrzymał zadanie wyboru miejsca na budowę przyszłego portu. Ostatecznie zdecydowano, że powstanie on w pobliżu dobrze znanej polskim letnikom, niewielkiej wioski rybackiej. Nieco ponad dwa i pół roku po symbolicznym zaślubieniu Polski z Bałtykiem, 23 września 1922 roku Sejm Rzeczypospolitej Polskiej przyjął ustawę o budowie portu w Gdyni.

– *Naczelnik Państwa rozumiał, że wolny dostęp do morza to najważniejszy warunek przyszłego rozwoju i życia Państwa Polskiego i dlatego polecił zainicjować niezwłocznie badania w kierunku przeprowadzenia drogi do morza* – napisano na stronie Muzeum Miasta Gdyni. Port oficjalnie otwarto już 23 kwietnia 1923 roku.

Wydarzenie to stanowiło faktyczny wyraz nieskrępowanego dostępu Polski do morza, przez co niejako dopełniło uroczystość z 10 lutego 1920 roku i wypowiedziane wówczas przez gen. Hallera słowa: *Teraz wolne przed nami światy i wolne kraje. Żeglarz polski będzie mógł dzisiaj wszędzie dotrzeć pod znakiem Białego Orła, cały świat stoi mu otworem.* ■



Zaczęło się w lutym

TEKST | Anna Pyżewska

10 lutego, podczas krzepiącego jeszcze snu, ktoś gwałtownie załomotał do drzwi. Tato otworzył i za nim weszło trzech: żołdat z karabinem i dwóch cywilów ze strzelbami. „Pakować się. Będziecie przesiedleni o kilka kilometrów. Sanie stoją przed domem. Szybko, szybko”. (...) Pakowaliśmy rzeczy na sanie. (...) Do stacji było blisko, tylko ten mróz...” – tak wspominał po latach deportację z 10 lutego 1940 roku Marian Stecyk. Właśnie minęło 85 lat od pierwszej masowej wywózki obywateli polskich w głąb Związku Sowieckiego.

Po napaści Armii Czerwonej na wschodnie tereny Polski (Kresy) we wrześniu 1939 roku na mieszkańców tych ziem spadły liczne represje. Tam, gdzie agresorzy napotykali na czynny opór żołnierzy czy cywilów, mordowali ich – tak było na przykład w Grodnie, gdzie zamordowali ok. 300 obrońców miasta, wśród nich nawet nastolatków. Już po aneksji wschodnich województw polskich Sowietci wtręśli do więzień tysiące ludzi, których uznali za wrogich wo-

bec instalowanej władzy (szacuje się, że od września 1939 roku do 22 czerwca 1941 roku, czyli do momentu wybuchu wojny niemiecko-sowieckiej, przez sowieckie więzienia na Kresach przeszło ponad 100 tys. obywateli polskich).

Taki los mógł spotkać właściwie każdego. W więzieniach znalazły się więc i osoby zatrzymane za nielegalne przekroczenie nowo ustanowionej granicy, i zamożni ziemianie, i urzędnicy państwowi, działacze samorzą-

dowi, sędziowie, prokuratorzy, księża, policjanci itd. Część z nich skazanych zostało na wieloletni pobyt w obozach pracy przymusowej, tzw. łagrach, w głębi Związku Sowieckiego. O wielu z tych ludzi zaginął wszelki ślad i do dziś nie wiadomo, co się z nimi stało.

Na początku 1940 roku do tego wachlarza represji dołączyły kolejne – przymusowe przesiedlenia. Nie był to nowy pomysł. Od kilkuset lat w ten właśnie sposób kolejni carowie zasiadali podbijane na wschodzie ziemie,

które włączali do swojego państwa. Trzeba było jakoś je ujarzmić i zagospodarować, tymczasem mało kto decydował się przenieść na odległe, niegościnne tereny z własnej woli. Trafiali więc tam jeńcy wojenni, także Polacy. Później, kiedy Polska zniknęła z mapy świata wskutek rozbiorów, zsyłano tam ludzi, którzy walczyli w kolejnych powstaniach o niepodległość czy angażowali się w działalność konspiracyjną.

Zesłanie był uważane za jedną z najsurowszych kar. Politykę przesiedlania prowadziły też władze Związku Sowieckiego, przenosząc z miejsca na miejsce także swoich własnych obywateli. Mieszkańcy Kresów nie byli więc pierwszymi ludźmi doświadczonymi w ten sposób. W odniesieniu do czasów sowieckich, mówiąc o przesiedleniach, używa się zazwyczaj terminu „deportacje”.

Szukając wroga

Pierwsza masowa wywózka ze wschodnich województw II Rzeczypospolitej miała miejsce 10 lutego 1940 roku. Jednak przygotowania do niej zaczęły się wcześniej: już na początku grudnia 1939 roku. Sowieci nie tylko podjęli decyzję o przeprowadzeniu takiej operacji, ale także określili dokładnie, kto zostanie wywieziony. Nie zamierzali wywozić przypadkowych ludzi (choć, jak pokazała później praktyka, i takich wśród deportowanych nie brakowało) – doskonale wiedzieli, jakich grup ludności chcą się pozbyć z nowo zajętych ziem. Mówiąc najogólniej, chodziło o wszystkie osoby, które mogłyby stanowić zagrożenie dla władzy sowieckiej. Na pierwszy ogień poszli więc osadnicy wojskowi i cywilni oraz pracownicy służby leśnej. Co ważne – postanowiono, że oni wszyscy zostaną wywiezieni wraz z rodzinami.

Dlaczego wybrano tych właśnie ludzi? Osadnicy wojskowi to żołnierze Wojska Polskiego, którzy przed laty



Skrzypce rodziny Jąkałów, zabrane na zesłanie 10 lutego 1940 r. FOT. ZE ZBIORÓW MUZEUM PAMIĘCI SYBIURU

zasłużyli się w walce o niepodległość i granice Polski. W okresie międzywojennym ich poświęcenie było nagradzane właśnie poprzez nadanie im ziemi we wschodnich województwach państwa. Osadnicy cywilni z kolei to ludzie, którzy kupili ziemię na wschodzie Polski i tam gospodarzyli aż do agresji Związku Sowieckiego. Zdaniem sowieckich władz, wszyscy oni (wraz z leśnikami) byli niebezpieczni, gdyż m.in. walczyli z bolszewikami w wojnie 1920 roku, mogli prowadzić działania dywersyjne skierowane przeciwko sowieckiemu państwu czy po prostu byli wrogo ustosunkowani wobec niego. Leśników Sowieci obawiali się także dlatego, że ci znali lasy

Grupa robotników, w tym zesłańców, ze strażnikami, ZSRS, posesłek Teja, 1940–1945 FOT. ZE ZBIORÓW MUZEUM PAMIĘCI SYBIURU

nowych władz były uosobieniem polskości, którą władze sowieckie zwalczały ze wszystkich sił.

W lutym 1940 roku Sowieci wywieźli ok. 140 tys. osób i była to najliczniejsza spośród czterech masowych deportacji ze wschodnich województw Polski przeprowadzonych w latach 1940–1941.

Groźny luty

Właściwie większość wspomnień osób deportowanych w tym czasie zaczyna się podobnie. – 10 lutego 1940 roku w nocy pobudka, głośne walenie do

drzwi. Weszli trzej robotnicy i żołnierz sowiecki z bronią. Oświadczyli, że będziemy przesiedleni. Posadzono męża w rogu pokoju, przy nim stanął robotnik z bronią i nie pozwalał mu się ruszać. Dziecko, obudzone i przestraszone, podniosło alarm – zapisała we wspomnieniach Jadwiga Okołów, deportowana z nadleśnictwa Chotynicze (przed wojną woj. polskie). Maria Andrzejewska, wywieziona z Józefina (przed wojną woj. biało-

wiezeni w inny rejon. Przykłady można mnożyć.

A potem wszystko nabierało tempa. Osoby wyznaczone do wywózki dostawały trochę czasu na spakowanie swoich rzeczy. Przeżalone, niemożące zrozumieć, co się właściwie dzieje, nierzadko łapały to, co wpadło im w ręce. Oprócz ubrań, naczyń i pościeli, także świadectwa szkolne, legitymacje, zdjęcia, krzyżyki i medaliki, modlitewniki, jakieś puzderka, figurki, a nawet zdarzało się, że w pośpiechu chwytały takie przedmioty jak... skrzypce. Niekiedy któregoś z asystujących Sowieców ruszało sumienie i podpowiadał, co jeszcze warto wziąć (maszynę do szycia!) albo nawet pomagał spakować przedmioty rzucane bezładnie na podłogę, ale większość enkawudzistów popędzała zdezorientowanych ludzi mówiąc, żeby nie zabierać zbyt wielu rzeczy, bo u nich, „w Sowietach”, wszystko jest...

W efekcie wiele osób wyruszało na długą drogę niedostatecznie przygotowanych, bez ciepłej odzieży i butów (przy mrozach dochodzących do poniżej minus 30 stopni Celsjusza), a nawet bez zapasów jedzenia. Zresztą, ta pierwsza deportacja była dla ludzi całkowitym zaskoczeniem, trudno więc było się do niej przygotować zawczasu. Po tym szybkim pakowaniu, ludzi wsadzano na sanie i wieszono na stacje. – *Przy trzaskającym mrozie przywieziono tych biedaków na kolejową rampę towarową i ładowano do czerwonych, bydłowych wagonów. (...) Tory kolejowe otoczono tyralierą wojskowych, z oddali tylko widzieć mogliśmy podjeżdżające konne sanie, podwożące do wagonów zamarzający ładunek. Staliśmy oniemiały, patrzyliśmy na zamykane kolejno wagony, tży zamarzały na policzkach, pięści zaciskały się w kieszeniach – tylko tak mogliśmy zareagować – tak załadunek ludzi do wagonów na stacji kolejowej w Lidzie [przed wojną woj. nowogrodzkie] opisywał Edward Pień-*

kos, przyglądający się wszystkiemu z oddali.

Pociągi ruszyły na wschód. Wagony były pełne. – *Upychano ludzi w tych wagonach jak śledzie w beczce, po osiem rodzin. Po obu stronach wagonu znajdowały się prycze, na środku stał piecyk żelazny. To miało być nasze mieszkanie przez ponad miesiąc. Zakratowane okna, zasuwana żelazna na drzwi i strażnik uzbrojony miały gwarantować, że nikt nie wyśliźnie się i nie ucieknie od swojego przeznaczenia. (...) Wyrąbana w podłodze dziura ostonięta przez kobiety kocami służyła za ubikację – opisywała warunki tej „podróży” Anna Jakubów, deportowana ze Stołpc (woj. nowogrodzkie).*



Aktówka Aleksandra Świderskiego, zabrana na zesłanie 10 lutego 1940 r. FOT. ZE ZBIORÓW MUZEUM PAMIĘCI SYBIRU

stockie), zanotowała: 10 lutego 1940 roku, około godz. 5 rano, obudził nas łomot do drzwi frontowych. Podeszłam do drzwi i pytam: „Kto tam?“, a oni po rosyjsku krzyczą „Otwieraj! Rewizja!” (...). Wszedł jeden oficer, jeden cywil, żołnierze ruscy, no i oczywiście – z czerwoną opaską na rękawie – fornał Pieczur, wypuszczony z więzienia, gdzie siedział za kradzież. (...) Zbyszkowi kazali usiąść na podłodze pod ścianą i postawili przy nim żołnierza z karabinem. Oficer powiedział, żebyśmy się ubierali szybko, bo czekają na nas sanie i będziemy prze-

Od czasu do czasu pociągi zatrzymywały się na jakichś stacjach, ale ludziom nie pozwalano opuszczać wagonów. – *Na stacjach brali dwie osoby, dawali wiadra. Z tymi wiadrami szli po posiłki, które gdzieś były przygotowane na dworcach wcześniej. Trudno to było nazwać posiłkiem, ale było coś gorącego, jakaś zawiesina w środku. No i gorąca woda – to trochę rozgrzewało w środku, człowiek się trochę lepiej czuł. Człowiek z głodu wszystko zje – wspominał Mieczysław Pluta, deportowany z Białegostoku.*

W tajdze

Wywiezieni w lutym 1940 roku trafili głównie na północ Związku Sowieckiego, do tajgi. Zamieszkali w tzw. osiedlach specjalnych, zorganizowanych na wzór łagrów i pozostających pod nadzorem NKWD. Wyjście poza ogrodzenie bez pozwolenia było surowo karane, tak więc życie deportowanych ograniczyło się do niewielkiego



Adela Szorc z domu Łapińska z mieszkańcami sowchozu im. Dzierżyńskiego koło Karasuku, ZSRS, 1944 r. FOT. ZE ZBIORÓW MUZEUM PAMIĘCI SYBIRU

skrawka ziemi w środku przepastnego lasu. Swoje rodzinne domy musieli zamienić na drewniane, prymitywne baraki, w których brakowało nawet podstawowych sprzętów – krzeseł, stołów, łóżek – i zazwyczaj był tylko jeden piec, na którym można było coś ugotować. W jednym baraku kwaterowano po kilkadziesiąt osób, ścisk więc był ogromny, co z kolei nieraz generowało konflikty.

Deportowani, traktowani jako niemal darmowa siła robocza, mieli obowiązek pracy. W tajdze większość z nich kierowano do wycinki drzew i niemal żadna temperatura, choćby nie wiadomo jak niska, nie zwalniała

ich od tego obowiązku. Mężczyźni ściнали drzewa, a następnie kobiety ociosywały je z gałęzi. Wiosną, kiedy skute lodem rzeki zaczęły robić się splawne, te ścięte drzewa splawiano dalej.

Ci, którzy byli zatrudnieni, dostawali wynagrodzenie – bądź to w postaci chleba (ciężkiego, gliniastego, ale jednak), bądź w formie niewielkich wypłat pieniężnych. W osiedlach funk-



Grób Wacława Borysiewicza, ZSRS, kołchoz Michajłowka, 1944 r. FOT. ZE ZBIORÓW MUZEUM PAMIĘCI SYBIRU

cjonowały stołówki, w których można było kupić coś do jedzenia, zazwyczaj zupę lub kaszę. Tej żywności zawsze jednak było za mało. Głód – to jest to, co chyba wszyscy deportowani najlepiej zapamiętali z czasów wywózki. Radzono sobie z tym na wszelkie możliwe sposoby. – *Nam nie było wolno nigdzie się stamtąd poruszać, ale ukradkiem, przez lasy, szli ludzie do najbliższej wioski (...) może osiem, może dziesięć kilometrów (...) nosili tam poduszki, nie poduszki, żeby kartofli parę przynieść czy coś do żywienia. (...) Ojciec [raz] nie poszedł do pracy, tylko poszedł ze mną do tej wsi, chodziliśmy po prostu tak „po proszonymu” (...). Potem, jak żeśmy wrócili, to ojca (...) zamknęli na parę dni do aresztu – to była taka drewniana buda (...) i tam parę dni musiał przesiadzieć*

– opowiadał Edward Radek, wywieziony z kolonii pod Słonimem (przed wojną woj. nowogródzkie).

Trochę lepiej było latem. – *W lecie to ludzie żywili się tym, co dała tajga, a tajga była rzeczywiście bogata. Rosły tam piękne jagody, (...) dzikie porzeczki, czerwone i czarne. (...) Wszystko nam smakowało, cokolwiek do jedzenia się znalazło. Poza tym w tajdze rosła dzika cebula i dziki czosnek – to też ludzie zbierali. A grzybów to w lesie było w bród, szczególnie pod koniec lata. (...) Żywiono się wszystkim, co w tej tajdze można było zebrać (...). Na przykład lebioda, którą nazywa się też komosą, albo pokrzywę – a nawet oset. (...) w głębi tajgi rosły bardzo, bardzo wysokie drzewa (...) miejscowa ludność nazywała je cedrami, a szyszki, które spadały, nazywano orzeszkami cedrowymi – wspominała Hieronima Dzierma, deportowana z Mazurek niedaleko Augustowa.*

Ciągle niedożywienie, fatalne warunki higieniczne, surowy klimat i praca ponad siły szybko doprowadziły do wielu chorób. Umierali i dorśli, i dzieci. Szczególnie trudna była sytuacja dzieci, które nagle traciły opiekunów i trzeba było zdecydować, co dalej. Jeżeli nie znalazł się ktoś, kto by się nimi zajął, trafiały do sowieckich domów dziecka. Może wtedy nie cierpiały głodu, ale były zupełnie same, bez najbliższych sobie osób. Sytuacja deportowanych zaczęła zmieniać się po wybuchu wojny niemiecko-sowieckiej 22 czerwca 1941 roku i podpisaniu układu Sikorski–Majski w lipcu tego roku. Mogli w końcu opuścić niegościnną tajgę, ruszyć dalej, szukając dla siebie miejsca i mając nadzieję, że na końcu tej tułaczki zobaczą swoje rodzinne strony. Ale to już zupełnie inna opowieść. ■

Anna Pyżewska jest kustoszem Muzeum Pamięci Sybiru w Białymstoku

Pamięć, której nie strawił ogień

TEKST | Katarzyna Czekaj-Kotyna

Ostatnie dni niemieckiej okupacji Łodzi były czasem niepewności, wyczekiwania, nadziei na wolność. Ale i strachu przed mającymi nadejść wydarzeniami, które zwiastował początek ofensywy Armii Czerwonej 12 stycznia 1945 roku – ich przebiegu i skutków nikt w mieście nie mógł być pewien.

Niemcy, podporządkowując się rozkazom Namiestnika Rzeszy w Kraju Warty Arthura Greisera, nie zarządzili ewakuacji miasta. Urzędy, zakłady produkcyjne, ale także obozy i więzienia do ostatniego dnia okupacji funkcjonować miały według wyznaczonego rytmu, który jednak z każdym dniem zakłócany był coraz bardziej zarządzeniami wymuszonymi sytuacją na zbliżającym się nieuchronnie do Łodzi froncie wojennym.

W mieście zapanowała nerwowa atmosfera. Władze zarządziły zaciemnienie miasta, które po zmroku, zapa-

dającym w styczniu bardzo wcześnie, pograżało się w całkowitych ciemnościach. Wyłączano latarnie miejskie i zasłaniano reflektory pojazdów. Okna musiały być zasłonięte kocami, tekturą lub deskami. Miało to utrudnić Armii Czerwonej działania operacyjne, w tym bombardowanie miasta. Rzeczywiście od 16 stycznia na Łódź zaczęły spadać sowieckie pociski. W celach rozpoznawczych nad miastem wypuszczano flary, rozświetlające ciemności panujące na ulicach.

17 stycznia, kiedy Niemcy zaczęli w chaosie opuszczać miasto, a ogło-

sy walk na przedpolach Łodzi stawały się coraz lepiej słyszalne, stawało się jasne, że miasto nie będzie bronione, a wejście Armii Czerwonej jest kwestią godzin. O świcie ostatniego dnia okupacji, 18 stycznia 1945 roku, kiedy łodzianie wyczekiwali z niecierpliwością upragnionego końca hitlerowskiego koszmaru, niebo spowiła gęsta chmura dymu, widocznego z niemal każdej części miasta. Łuna unosząca się na Radogoszczem była znakiem ostatniej i najbardziej brutalnej zbrodni, jakiej Niemcy dopuścili się na polskiej ludności miasta w okresie

II wojny światowej – likwidacji Rozszerzonego Więzienia Policyjnego Radogoszcz. Pociągnęła ona za sobą ponad 1000 ofiar – mężczyzn rozstrzelanych lub spalonych żywcem. Pomordowanych w ostatnim akcie bezdusznego okrucieństwa, czy może ślepej determinacji w ukrywaniu śladów popełnianych zbrodni.

Wbrew intencjom morderców, pamięci o cierpieniu więźniów Radogoszcza nie zabrał ogień. W styczniu obchodziliśmy 80. rocznicę masakry

Od fabryki do nazistowskiego więzienia – wojenna historia Radogoszcza

Dawna fabryka Samuela Abbego zlokalizowana przy współczesnej ul. Zgierskiej 147 (dawniej: Szosa Zgierska 1) w okupacyjną historię Łodzi wpisała się na wiele sposobów, stając się symbolem okrucieństwa nazistowskiego aparatu terroru wymierzonego w polską ludność miasta. Już w listopadzie 1939 roku Niemcy ulokowali tu obóz przesiedleńczy, do którego tra-

roku Prezydium Policji w Łodzi przejęło nadzór nad placówką, która odtąd znana była jako Rozszerzone Więzienie Policyjne Radogoszcz (Erweitertes Polizeigefängnis Radegast). Na jego czele stanął Walter Pelzhausen, który funkcję komendanta więzienia pełnił do 19 stycznia 1945 roku.

Radogoskie więzienie miało charakter przejściowy. Trafiali tu mężczyźni podejrzewani o popełnienie przestępstwa i oczekujący na wyrok oraz skierowanie do miejsca docelowego odbywania kary. Chociaż czas przebywania w placówce był stosunkowo krótki (od kilku tygodni do kilku miesięcy), to panujące tu fatalne warunki sanitarne i aprowizacyjne, brutalne metody traktowania więźniów przez załogę, przyzwolenie komendanta na dokonywanie mordów na więźniach, czyniły z tego miejsca katorżnicę, porównywaną często przez osadzonych do obozów koncentracyjnych. Decydującą rolę miał w tym komendant Pelzhausen, niemiecki funkcjonariusz policji z Rzeszy, sadysta i socjopata inspirujący podległych mu wachmanów do znęcania się nad więźniami, jak i sama załoga, złożona w większości z lokalnych folksdojczów, nieustępujących swojemu dowódcy w brutalności i bezwzględności.

Dramat więźniów Radogoszcza rozpoczął się tuż po przekroczeniu bramy hitlerowskiej placówki. Zgromadzeni na placu apelowym, bez względu na pogodę musieli nawet godzinami oczekiwać na wywołanie do rejestracji. W więziennej kancelarii spisywane były ich dane, odbierane rzeczy osobiste, które mogły stanowić jakąkolwiek wartość. Następnie mężczyźni kierowano do łaźni. Podczas gdy ich ubrania poddawane były parowaniu, nadzy więźniowie spędzali kolejne godziny w nieogrzewanej łaźni. W tym czasie opiekujący się izbą chorych Bruno Mathäus, zwany „Sanitariuszem Mateuszem” (łódzki folksdojcz, półanalfabeta bez medycznego



Członkowie załogi Rozszerzonego Więzienia Policyjnego Radogoszcz. Pośrodku – komendant Walter Pelzhausen, 1942 r. FOT. ZE ZBIORÓW MUZEUM TRADYCYJNI NIEPODLEGŁOŚCIOWYCH W ŁODZI

z 1945 roku, jak co roku składając hołd jej ofiarom w trakcie podniosłych uroczystości. Naszym obowiązkiem jest jednak nie tylko pielęgnowanie pamięci, ale także podtrzymywanie wiedzy o genezie i konsekwencjach tego, co wydarzyło się w latach wojny na Radogoszczu. Aby zatem dostrzec sens i cel wydarzeń, jakie rozegrały się w tym miejscu między 17 a 19 stycznia 1945 roku, należy przyjrzeć się losom tego miejsca w okresie pięciu lat poprzedzających masakrę.

fiali łodzianie represjonowani w ramach pierwszych akcji wysiedleńczych (m.in. część mieszkańców osiedla J. Montwiłła-Mireckiego w Łodzi). Na przełomie lat 1939–1940 obóz przesiedleńczy koegzystował tu z obozem przejściowym dla przedstawicieli łódzkiej inteligencji, wcześniej przetrzymywanych w dawnej fabryce Michała Glazera przy współczesnej ul. Liściastej. Obie placówki pozostawały pod nadzorem Gestapo, a ich załoga rekrutowała się spośród członków SS (Die Schutzstaffel der NSDAP) oraz pomocniczych jednostek Selbstschutz. Pierwszym komendantem więzienia był Robert Echlers. 1 lipca 1940

przygotowania) dokonywał inspekcji, oceniając rzekomy stan higieniczny osadzonych. Wytypowanym więźniom zalecał bolesne zabiegi polegające na szorowaniu ryżowymi szczotkami lub kąpielach w lodowatej wodzie. Cel tych zabiegów był oczywisty – wdrożenie nowoprzybyłych do brutalnej dyscypliny i terroru, jakie panowały w radogoskiej placówce. Potwierdzał to zwyczaj tzw. wkupnego – pierwszego bicia, jakie wymierzane było więźniowi na początku jego pobytu, najczęściej przez wachmana nazywanego „rudym Józiem” – Józefa Heinricha. Nieuzasadniona, często zupełnie ślepa przemoc fizyczna i psychiczna, znęcanie się i zastraszanie więźniów zapewnić miały posłuszeństwo, ale też podkreślić rzekome różnice rasowe wyznaczone przez ideologię nazistowską pomiędzy polskimi więźniami, a ich niemieckimi strażnikami, nawet jeśli przed wojną wychowywali się oni

na tych samych robotniczych podwórkach Łodzi, Zgierza czy Pabianic.

Warunki bytowania na Radogoszczu były dramatycznie złe. Więźniowie kwaterowani byli w dużych celach zaadaptowanych w dawnych halach fabrycznych. W każdej mogło przebywać do 300–400 osób. Spali po kilka osób na piętowych pryczach zbudowanych z nieheblowanych desek, pozabawianych kocy czy słomy. Cele nie

Radogoskie więzienie miało charakter przejściowy. Trafiali tu mężczyźni podejrzewani o popełnienie przestępstwa i oczekujący na wyrok

były wyposażone w urządzenia sanitarne, a jedyną formą higieny dostępną dla więźniów były poranne, kilkuminutowe wizyty w łaźni, odbywające się zawsze w dużym ścisiku i pod batami strażników, pospieszających więźniów, urągających im i bijących z byle powodu. Co więcej, o ile więzień nie otrzymał z domu paczki z czystą bielizną, w więzieniu nie było możliwości prania ubrań. W takich warunkach sanitarnych, choroby rozprzestrzeniały się wyjątkowo szybko. Śmiertelność wznagały także fatalne warunki aprowizacyjne w placówce. Wyżywienie więźniów było głodowe, a składało się na nie śniadanie złożone z kromki chleba i wody gotowanej na palonym owsie, obiad w postaci wodnistej zupy przygotowanej na zgnitych resztkach warzyw oraz kolacja – chleb i woda z ziołami. Warto jednak podkreślić, że za wysoki wskaźnik umieralności w radogoskim więzieniu, oscylujący szacunkowo wokół 10 proc., w decydującej mierze odpowiadała brutalność załogi pod dowództwem komendanta Pelzhausena oraz dokonywane w więzieniu zbrodnie na osadzonych tu mężczyznach.

Przejściowy charakter radogoskiego więzienia decydował o tym, że z założenia więźniowie mieli tu przebywać jedynie do otrzymania wyroku niemieckiego sądu, który wyznaczał ich dalszy los (mógł być nim obóz koncentracyjny, obóz śmierci, obóz pracy, roboty przymusowe, ale też uwolnienie z więzienia). Oznacza to, że wykonywanie egzekucji czy wszelkie zabójstwa na terenie więzienia nie miały uzasadnienia nawet w świetle niemieckiego prawa. Nie powstrzymywało to komendanta więzienia i podległych mu strażników przed dokonywaniem na terenie więzienia rozstrzeliwań, śmiertelnych pobić, doprowadzania do zgonu osadzonych poprzez wielogodzinne tortury czy ćwiczenia karne.

Na Radogoszczu śmierć groziła za kradzież (także kradzież chleba, której



FOT. BARBARA JAMROCHA / UDSKIOR

W Muzeum Tradycji Niepodległościowych w Łodzi **22 stycznia 2025 roku** odbyła się współorganizowana przez UdSKIOR konferencja na temat zakończenia niemieckiej okupacji na ziemiach polskich włączonych do III Rzeszy. Zastępca szefa Urzędu Michał Syska podkreślił, że pojawiają się nowe wyzwania dotyczące tego, jak podtrzymywać pamięć o tamtych wydarzeniach. „Jest to naszym zobowiązaniem wobec ofiar” – dodał.

dopuszczali się głodzeni więźniowie), przesyłanie czy pisanie listów i grypsów do rodzin, zbliżanie się do okien („bezpieczną” odległość od okna wyznaczała w celach tzw. linia śmierci), próbę ucieczki, ale również za każde zachowanie, które wachmani uznali za „niewłaściwie”. Przy tym kary, w tym rozstrzelania, często odbywały się publicznie, na oczach współlo-

Likwidacja więzienia – 17/18 stycznia 1945 roku

Poczuciem tej bezkarności Niemców zachwiało dopiero zbliżanie się do

miestnika Arthura Greisera), a jak silnie oddziaływał na nich strach przed sprawiedliwością, jakiej należało spodziewać się z rąk Polaków czy pozba-



Zwłoki zamordowanych więźniów
Rozszerzonego Więzienia Policyjnego
Radogoszcz, 1945 r. FOT. ZE ZBIORÓW MUZEUM TRADYCJI
NIEPODLEGŁOŚCIOWYCH W ŁODZI (2)

dzonych, szczególnie w sytuacjach, które służyć miały za przykład i sposób utrzymania w bezwzględnym posłuszeństwie sterroryzowanych więźniów. Miarą zezwierzęcenia radogoskiej załogi były urządzane na salach sporadycznie, również po pijanemu, egzekucje. Upojeni alkoholem wachmani pojawiali się w nocy na celach, czasem w towarzystwie sprowadzonych na pijatykę kobiet i strzelali do wytypowanych przypadkowo więźniów. Wachmani (nawet jeśli byli półanalfabetami bez wykształcenia i jakichkolwiek kwalifikacji) udowadniali w ten sposób samym sobie rzekomą wyższość wynikającą z przynależności do „rasy panów”, pewni bezkarności, jaką gwarantowała im III Rzesza.



Łodzi Armii Czerwonej w styczniu 1945 roku i dochodzące razem z frontem wiadomości o losie hitlerowców branych do niewoli przez Sowieców. Trudno dziś wyrokować jaki wpływ na działania Niemców w obliczu nieuchronnego końca okupacji miały rozkazy płynące z Berlina czy Poznania (stolicy Kraju Warty i siedziby na-

wionych wszelkich skrupułów Sowieców. Pelzhausen, podejmując decyzję o przygotowaniu operacji mającej na celu likwidację radogoskiej placówki i zamordowanie ponad 1000 znajdujących się w niej mężczyzn, mógł wzorować się na działaniach podjętych wcześniej przez Niemców w Generalnym Gubernatorstwie. Realizowano

tam rozkaz Wilhelma Koppe, wyższego dowódcy SS i Policji z 20 lipca 1944 roku, nakazującego w sytuacji zbliżania się frontu likwidację placówek policyjnych oraz ewakuację lub eksterminację znajdujących się w nich więźniów. Równie prawdopodobne jest, że decydując się na przeprowadzenie tak brutalnej operacji liczył przede wszystkim na zniszczenie dowodów i usunięcie świadków zbrodni, których sam i osobiście dopuszczał się na Radogoszczu w ciągu niemal pięciu lat pełnienia funkcji komendanta placówki.

Trudno oszacować dokładną liczbę mężczyzn, którzy w nocy 17 stycznia 1945 roku znajdowali się na Radogoszczu, ze względu na dużą liczbę transportów, które do ostatniego dnia funkcjonowania przechodziły przez więzienie oraz brak zachowanej dokumentacji. Oblicza się, że feralnej nocy w więzieniu znajdowało się ok. 1000–1300 osób. W dniu likwidacji wszystkich osadzonych zgromadzono w głównym budynku więziennym. Chorych leżących w izolatkach zamordowano bagnietami, aby nie wzbudzać przedwczesnej paniki. Tuż po północy rozpoczęły się masowe egzekucje na salach. Wachmani wchodzili do kolejnych cel, wydawali rozkaz ustawienia się jak do apelu, a następnie wybiegania na klatkę schodową, jak robili to dziesiątki razy wcześniej. Tym razem na klatce schodowej ustawiony był karabin maszynowy, z którego zabijano wybiegających na korytarz. Ci, którzy odmówili wyjścia z cel, rozstrzelani byli na miejscu z broni maszynowej i pistoletów ręcznych.

Mimo przygotowanego i realizowanego konsekwentnie planu mordu, masowe egzekucje przeżyło kilkudziesięciu mężczyzn, którzy ukryli się między ciałami rozstrzelanych. Zabarykadowali się oni w celach, oczekując na rozwój wypadków. Wtedy jednak, nad ranem 18 stycznia, Niemcy podpalili więzienie, wykorzystując zgromadzo-

ne wcześniej w pomieszczeniach na parterze beczki z materiałami łatwopalnymi. W XIX-wiecznym budynku dawnej fabryki o drewnianych stropach ogień rozprzestrzenił się szybko. Ocalali z rozstrzelań ginęli w płomieniach lub w wyniku uduszenia. Nielicznym udało się przedostać na dach budynku, ostrzeliwany jednak ogniem karabinów wachmanów, któ-

Chorych leżących w izolatkach zamordowano bagnietami, aby nie wzbudzać przedwczesnej paniki. Tuż po północy rozpoczęły się masowe egzekucje

rzy w ten sposób uniemożliwiali de facto ucieczkę z płonącej pułapki. Przeżycie tak drobiazgowo zaplanowanej operacji likwidacyjnej graniczyło z cudem. Doświadczyło go kilku więźniów, którzy ukryli się w rezerwarze na wodę znajdującym się na najwyższej kondygnacji klatki schodowej. Kilkanaście innych osób przeskoczyło na dach budynków gospodarczych i unikając trafienia kulami Niemców, ukryło się między zwłokami lub w więziennych magazynach. Kilka osób szukało ocalenia w pozostającej pod ostrzałem wieżyczce strażniczej. Poranka 19 stycznia 1945 roku doczekało 31 więźniów. Dopiero wtedy, na chwilę przed wkroczeniem w granice miasta Armii Czerwonej, Niemcy opuścili teren spalonego więzienia. Poranionych, przemarzniętych i przerażonych ocalańców ukrytych w zakamarkach więzienia i wśród trupów zalegających w zabudowaniach i na dziedzińcu odnajdywali okoliczni mieszkańcy, którzy jako pierwsi znaleźli się na pogorzeliisku. Widok ponad

tysiąca rozstrzelanych i spalonych mężczyzn, ciał tłących się wciąż wśród ruin więzienia, wrył się na trwałe w zbiorową świadomość miasta i jego mieszkańców. Radogoszcz stał się ostatnią traumą okupacyjnego koszmaru i trwalszym niż ogień i czas symbolem człowieczeństwa pokonanego przez ideologię opartą na szowinizmie, rasizmie i bezmyślnej sile.

Pamięć o Radogoszczu

Kustosem pamięci o ofiarach radogoskiego więzienia jest dziś Muzeum Tradycji Niepodległościowych w Łodzi. Wśród ruin hitlerowskiej katowni powstało z czasem Mauzoleum – miejsce pamięci o martyrologii pomordowanych więźniów, ale i muzeum – miejsce edukacji o wojnie – jej korzeniach, konsekwencjach i zagrożeniach, jakie niesie w każdym czasie i miejscu, także współczesnemu światu.

W styczniu 2025 roku, w 80. rocznicę Masakry Radogoskiej w Oddziale Martyrologii Radogoszcz, przy wsparciu Urzędu do Spraw Kombatantów i Osób Represjonowanych oraz w obecności p. Michała Syski, zastępcy szefa tego Urzędu, odbyła się konferencja naukowo-dydaktyczna pt. „Zakończenie niemieckiej okupacji na ziemiach polskich włączonych do III Rzeszy (1945 r.)” oraz otwarcie wystawy pt. „Pamięć ruin...”, prezentowanej w ocalałej z pożaru w 1945 roku klatce schodowej budynku więziennego.

Osiemdziesiąt lat od zakończenia wojny, tym co winni jesteśmy przeszłości, to pamięć i hołd składany ofiarom tamtych wydarzeń oraz wiedza i zrozumienie na temat mechanizmów, źródeł i przyczyn, które do tych wydarzeń doprowadziły. Radogoszcz może być bowiem dla nas ważną lekcją historii. Obyśmy potrafili wyciągnąć z niej naukę. ■

dr Katarzyna Czekaj-Kotynia jest kierownikiem Oddziału Martyrologii Radogoszcz w Muzeum Tradycji Niepodległościowych w Łodzi



TEKST | Grzegorz Majchrzak

Gorący rok 1980

Styczeń 1980 roku był – jeśli wierzyć raportom Służby Bezpieczeństwa na temat „zagrożeń bezpieczeństwa wewnętrznego” – miesiącem spokojnym, szczególnie w zakładach pracy. Funkcjonariusze odnotowali w nich pięć – jak to wówczas określano w peerelowskiej propagandzie – „przerw w pracy”, a także 47 „innych konfliktów”, głównie „na tle konkretnych problemów w danym zakładzie”.

Przy czym najwięcej osób wzięło udział w jednogodzinnym strajku w Lubańskich Zakładach Przemysłu Bawełnianego w Lubaniu Śląskim, w których 300 pracowników pierwszej zmiany wydziału przędzalni przerwało pracę, żądając od dyrekcji wyjaśnienia, „dlaczego pracują w wolną sobotę”. Skala tych protestów nie była jednak niepokojąca.

Choć miesiąc później „innych konfliktów” esbecy odnotowali zdecydowanie więcej, gdyż 75, to zastrajkowały jedynie trzy zakłady. Przy czym w największym z tych protestów – w Fabryce Domów w Ciechanowie – brało udział około 140 robotników. Niezadowoleni z płacy betoniarze i zbrojarze przerwali pracę na 16 godzin.

Zresztą na początku 1980 roku funkcjonariusze SB informowali o „częściowym wyhamowaniu aktywności” opozycji, co rzekomo wiązało się z „ożywieniem życia politycznego w kraju w związku z kampanią przedzjazdową”, bowiem 11–15 lutego odbywał się VIII Zjazd PZPR, który przebiegł bez zakłóceń. To „wyhamowanie” rzeczywiście było częściowe,

gdyż np. 12 stycznia działacze Komitetu Obrony Robotników (z inicjatywy Zbigniewa Romaszewskiego) powołali do życia Komisję Helsińską w Polsce „do oceny przestrzegania przez władze PRL Aktu Końcowego Konferencji Bezpieczeństwa i Współpracy Europejskiej w Helsinkach”. Z kolei kilkanaście dni później – 23 stycznia – w Przedsiębiorstwie Produkcji i Montażu Urządzeń Elektrycznych Budownictwa „Elektromontaż” w Gdańsku utworzono Komisję Robotniczą, na czele której stanął Lech Wałęsa. Tydzień później zorganizowała ona nawet wiec w sprawie zwolnienia z tego zakładu 25 robotników, którzy w grudniu 1979 roku wzięli udział w składaniu kwiatów pod bramą Stoczni Gdańskiej im. Lenina dla uczczenia ofiar grudniowej masakry z 1970 roku.

Wbrew raportom „smutnych panów” wcale nie było jednak tak spokojnie. Z pewnością najważniejszym, najbardziej tragicznym wydarzeniem w tym okresie była – do dziś niewyjaśniona – śmierć działacza Wolnych Związków Zawodowych Wybrzeża Tadeusza Szczepańskiego. 16 stycznia 1980 roku spotkał się on – z okazji zdanego egzaminu na prawo jazdy – z przyjaciółmi. Dwa miesiące później, 17 marca, jego ciało – pozbawione odzieży i poważnie okaleczone – zostało wyłowione z Kanału na Stępcie. Według „ustaleń” prokuratury, która prowadziła dochodzenie w związku z jego śmiercią, miała być ona rzekomo „przypadkowym utonięciem”. Problem w tym, że po pierwsze 16 stycznia Motławę i dochodzące do niej kanały pokrywał lód, a po drugie Szczepańskiego – według pierwotnych zeznań świadków – ostatni raz widziano przy Dworcu Głównym PKP, czyli w sporej odległości od wspomnianych kanałów. Jego pogrzeb odbył się 25 marca 1980 roku na cmentarzu Emaus w gdańskiej dzielnicy Siedlce. Miało w nim wziąć udział od

kilkuset do około dwóch tysięcy osób. I to mimo przeciwdziałania ze strony Służby Bezpieczeństwa, której funkcjonariusze nie dopuścili do udziału w pogrzebie kolegów Tadeusza Szczepańskiego z gdańskiego „Elektromontażu” czy części działaczy opozycji (m.in. WZZ Wybrzeża). Poza tym „punktem zapalnym” na początku 1980 roku stała się Częstochowa, a dokładniej Jasna Góra. Wynikało to



W styczniu 1980 r. działacze Komitetu Obrony Robotników, z inicjatywy Zbigniewa Romaszewskiego, powołali do życia Komisję Helsińską w Polsce FOT. PAP

Wyczuwa się napiętą atmosferę, podobnie jak w czerwcu 1976 r., która w przypadku dalszych podwyżek cen może doprowadzić do przerw w pracy

z faktu, że peerelowskie władze rozpoczęły budowę trasy szybkiego ruchu wokół niej. 18 stycznia – w Lublinie – został nawet utworzony Studencki Komitet Obrony Jasnej Góry.

Tym jednak, co najbardziej w tym czasie zajmowało zarówno działaczy opozycji, jak i peerelowskie władze na

początku 1980 roku, były zbliżające się wybory do Sejmu i rad narodowych (w marcu tego roku) oraz 40. rocznica Zbrodni Katyńskiej (kilka tygodni później, w kwietniu). Oczywiście „elementy antysocjalistyczne” – jak ich nazywali funkcjonariusze SB – nie chciały, a przynajmniej większość z nich, brać udziału w farsie, jakimi były nadchodzące wybory. I tak np. KOR w oświadczeniu z 24 lutego stwierdzał, że „oddawanie głosów na jedną listę, będącą faktycznie listą władz partyjno-państwowych, nie może być nazwane wyborami”. I określał je mianem „przykrych farsy”, która „ubliża godności obywatelskiej i ludzkiej”. Z kolei działacze Ośrodka Myśli Ludowej i Ośrodka Myśli Socjalistycznej we wspólnym oświadczeniu stwierdzili, że obywatele, którzy niezgadają się z programem PZPR, sprawującą de facto „niepodzielną władzę w Polsce wyłącznie z własnego samouznania”, mają do wyboru dwie możliwości. Pierwszą z nich było wyrażenie sprzeciwu poprzez przedarcie lub skreślenie kart do głosowania, drugim zaś uchylenie się od niego. Decyzję, co do wyboru formy protestu wyborczego działacze obu tych niezależnych ośrodków pozostawiali „świadomości, moralności i sumieniu każdego obywatela”.

Nieco inne stanowisko zajęli Wolni Demokraci, którzy w apelu z 17 stycznia 1980 roku zwracali się zarówno do władz PRL, jak i do obywateli. Od rządzących domagali się „rzetelnych wyborów”, z możliwością swobodnego wyboru przez obywateli swoich przedstawicieli wyłonionych w głosowaniu powszechnym równym i tajnym, a także „gwarantujących wyborcom swobodne wyrażenie opinii”. Oznaczało to m.in. dopuszczenie do list wyborczych „wszystkich kandydatów zgłoszonych przez poszczególne grupy obywateli w danym okręgu wyborczym”, a nawet umożliwienie im oraz „ugrupowaniom politycznym

i społecznym” prowadzenia kampanii wyborczej w mediach państwowych i to „na zasadach pełnej równorzędności”. Z kolei do obywateli Wolni Demokraci apelowali, aby ci w przypadku niedokonania przez rządzących oczekiwanych zmian w prawie wyborczym „przekształcili formalne tylko głosowanie na kandydatów Frontu Jedności Narodu w plebiscyt na rzecz wolnych wyborów” i – w tym celu – pisali na kartach do głosowania dwie wielkie litery „W”, jako dwie pierwsze litery od słów „wolne wybory”.

rencję prasową dla zachodnich korespondentów.

Niemal równolegle z przygotowaniami do wyborów do Sejmu PRL i rad narodowych trwały przygotowania do obchodów 40. rocznicy Zbrodni Katyńskiej. Rok 1980 został ogłoszony – najpierw przez polską emigrację na Zachodzie, a później przez działaczy opozycji – Rokiem Katyńskim, a dzień 13 kwietnia 1980 roku dniem żałoby narodowej, której wraz z innymi miały być czarne opaski noszone na rękawach. Oczywiście obchody

ulicach miast, a także w innych miejscach – w całym praktycznie kraju, mimo prowadzonych na dużą skalę przez Służbę Bezpieczeństwa działań – pojawiło się szereg ulotek, napisów oraz plakatów, np. w pociągu relacji Kolużki – Gliwice napis „Naród Polski cześć pamięć 15 000 zamordowanych oficerów polskich przez zbrodniarzy sowieckich”.

To jednak nie wszystko – działacze opozycji starali się również organizować niezależne i oczywiście nielegalne demonstracje rocznicowe. Niekiedy – mimo przeciwdziałania ze strony władz PRL (głównie SB i Milicji Obywatelskiej) – z powodzeniem (m.in. w Gdańsku, Krakowie, Lublinie, Łodzi czy Warszawie). Może nie imponowały one pod względem frekwencji, np. pod Wawelem miało zebrać się kilkadziesiąt osób, ale było widocznym znakiem pamięci. Hołd zamordowanym oddawano również – już tradycyjnie – na Cmentarzu Wojskowym na Powązkach, na terenie tzw. dolinki katyńskiej. Czasem – jak np. w Tarnowie – ograniczano się do rocznicowych mszy św. Niestety w związku



Głódówka protestacyjna w obronie Dariusza Kobzdeja i Mirosława Chojeckiego, na zdjęciu Kazimierz Świtoń, Jacek Kuroń, Bronisław Wildstein, Jan Karandziej, Leszek Budrewicz, Lesław Maleszka i inni. FOT. ARCHIWUM IPN

Jeszcze dalej poszli, a dokładniej próbowali pójść, działacze Konfederacji Polski Niepodległej. Otóż postanowili oni wystartować w wyborach... Oczywiście jednak próby rejestracji kandydatów KPN – podejmowane między 21 a 26 lutego w okręgowych komisjach wyborczych (m.in. w Warszawie Leszka Moczulskiego i Tadeusza Stańskiego) – zakończyły się niepowodzeniem. Równocześnie kapeenowcy prowadzili, a raczej próbowali prowadzić „kampanię wyborczą”, m.in. kolportując ulotki i rozwieszając plakaty. Starali się oni również – bez powodzenia – zorganizować konfe-

rocznicowe nie ograniczały się jedynie do nich. Uchwalono (m.in. Instytut Katyński, KOR, KPN czy Komitet Porozumienia na Rzecz Samostanowienia Narodu, czy Ruch Obrony Praw Człowieka i Obywatela) z tej okazji szereg okolicznościowych apeli i oświadczeń. W prasie drugiego obiegu, która wychodziła poza zasięg cenzury, ukazał się szereg artykułów poświęconych Zbrodni Katyńskiej, a np. „Biuletyn Dolnośląski” – najważniejsze pismo ukazujące się przed powstaniem NSZZ „Solidarność” na Dolnym Śląsku – przygotował nawet specjalny, kilkunastostronicowy dodatek. Na

z tymi działaniami posypały się represje – tylko za udział w nielegalnych demonstracjach – według danych MSW – zatrzymano – w całym kraju 72 osoby. Nie sposób w tym miejscu nie wspomnieć o tragicznym zdarzeniu związanym ze zbliżającą się rocznicą Zbrodni Katyńskiej – samospaleniu się 21 marca 1980 roku na krakowskim rynku 76-letniego byłego żołnierza Armii Krajowej, Walentego Badyłaka.

Po wyborach i obchodach rocznicowych Zbrodni Katyńskiej wydawało się, że sytuacja w kraju „stabilizuje się”. Owszem nadal działała opozycja,

która m.in. zorganizowała w maju obchody uchwalenia Konstytucji 3 maja (m.in. w Gdańsku kilkutyśieczną – oczywiście nielegalną – demonstracją) czy głódówkę w kościele św. Krzysztofa w Podkowie Leśnej w akcie solidarności z głodującymi w więzieniu Mirosławem Chojeckim i Dariuszem Kobzdejem, a także w intencji uwolnienia więzionych działaczy opozycji. Owszem, tworzone były nowe inicjatywy niezależne – Komitet na rzecz Obrony Jana Kozłowskiego czy Akademickie Biuro Interwencyjne. Mimo to – co zresztą widać po tych inicjatywach – opozycjoniści koncentrowali się na obronie działaczy opo-

najbardziej widocznym przejawem „olimpijskiej” aktywności polskiej opozycji był plakat z czołgiem z czerwoną gwiazdą, którego lufy układały się w znak pięciu kół olimpijskich, wid-

Rok 1980 został ogłoszony – najpierw przez polską emigrację na Zachodzie, a później przez działaczy opozycji – Rokiem Katyńskim

(w tym I sekretarza KC PZPR Edwarda Gierka) w czerwcu 1980 roku Departament III MSW – były to jedynie pozory. Na początku tego miesiąca stwierdzono: „aktualnie widoczna jest niekorzystna ewolucja tych nastrojów wyrażająca się wzrostem ilości negatywnych ocen i wypowiedzi w odniesieniu do sytuacji gospodarczej kraju”, które miały przyjmować niekiedy „agresywne formy”. Z kolei w połowie czerwca z Rakowieckiej donoszono m.in.: „Wśród załóg zakładów pracy i w środowiskach zawodowych, zwłaszcza na terenie Wybrzeża, wystąpił w ostatnim okresie poważny wzrost nastrojów niezadowolenia na tle sytuacji społeczno-ekonomicznej w kraju”. I dodawano, że taka sytuacja dotyczy „wielu dużych zakładów produkcyjnych” województwa gdańskiego, w tym Stoczni Gdańskiej im. Lenina. W tej ostatniej „od dłuższego czasu” przy okazji oficjalnych zebrań miały się odbywać „burzliwe dyskusje” na temat sytuacji ekonomicznej kraju, a ich uczestnicy żądać „wyczerpujących odpowiedzi” w takich kwestiach, jak problemy z zaopatrzeniem w mięso i jego przetwory, zła jakość wędlin, kolejki przed sklepami (w tym komercyjnymi) czy ukryte podwyżki cen na różne artykuły. Z kolei pod koniec tego miesiąca Departament III MSW już wręcz alarmował decydentów: „Wyczuwa się napiętą atmosferę, podobnie jak w czerwcu 1976 r., która w przypadku dalszych podwyżek cen może doprowadzić do przerw w pracy”, dodając przy tym, że działacze opozycji przy ich okazji mają planować strajk w Stoczni Gdańskiej. Problem w tym, że decyzje o podwyżkach cen „niektórych gatunków wędlin i mięsa” były już dawno podjęte, a przywódcy PRL nie zamierzali się z nich wycofywać...



FOT. OSRODEK KARTA

zycji przed spadającymi na nich represjami.

Tym, co jednak zaprzętało uwagę wszystkich pod koniec pierwszej połowy 1980 roku były zbliżające się letnie igrzyska olimpijskie w Moskwie, które rozpoczęły się 19 lipca. W związku z nimi swoje działania prowadziła również opozycja. Największym echem – dzięki nagłośnieniu przez zachodnie media – odbił się apel Komitetu Porozumienia na rzecz Samostanowienia Narodu z 13 lutego do polskich olimpijczyków, w którym nawoływano do bojkotu olimpiady w stolicy Związku Sowieckiego. Z kolei

niał na nim u góry napis „Berlin 1936”, a u dołu „Moskwa 1980”. Był on kolportowany w kraju, m.in. w Krakowie czy Warszawie. Skala tych działań nie była jednak – z punktu widzenia władz PRL – problemem.

Spokojna wydawała się również sytuacja w zakładach pracy. W marcu funkcjonariusze odnotowali siedem „przerw w pracy”, jedną w kwietniu, pięć w maju oraz sześć w czerwcu. Jednocześnie w ocenie MSW w tym czasie doszło odpowiednio do 55, 36, 44 i 33 „innych konfliktów”. Problem w tym, że – jak informował, czy wręcz alarmował peerelowskie władze

dr Grzegorz Majchrzak jest pracownikiem Biura Badań Historycznych IPN

Pierwsze obchody Narodowego Dnia Pamięci Żołnierzy Armii Krajowej



„Armia Krajowa jest symbolem wartości, które wciąż są istotne, a więc poświęcenia dla drugiego człowieka, osobistej odwagi, pracy i ofiary dla ojczyzny. (...) To są też wartości, które przyświecały pokoleniom działaczy opozycji antykomunistycznej już długo po wojnie” – powiedział 14 lutego szef UdSKIOR Lech Parell. Podziękował także premierowi Donaldowi Tuszkowi, posłom i senatorom oraz prezydentowi za współpracę na rzecz ustanowienia Narodowego Dnia Pamięci Żołnierzy Armii Krajowej. „Możemy więc się jednoczyć w ważnych sprawach, możemy działać ramię w ramię, bez względu na podziały polityczne. (...) Armia Krajowa skupiała ludzi o różnych poglądach, którzy potrafili współpracować ze sobą dla wyższego celu. Wyzwaniem dla nas dzisiaj jest budowanie wspólnoty ponad podziałami; wspólnoty tu i teraz, bez czekania na dramatyczne wydarzenia” – zaznaczył.

Prezes Światowego Związku Żołnierzy Armii Krajowej kpt. hm. Janusz Komorowski podkreślił, że ustawa o Narodowym Dniu Pamięci Żołnierzy AK zajmuje miejsce szczególne, bo każdego roku w kraju i za granicą będzie przypominała o bohaterskiej walce, niezłomności i wierności ideałom polskiego ducha, a także o ofiarnej służbie Polsce.

FOT. BARBARA JAMRÓCHA / UDSKIOR (4)



Główne uroczystości odbyły się przed Pomnikiem Polskiego Państwa Podziemnego i Armii Krajowej. Złożono także kwiaty przed pomnikiem dowódcy AK gen. Stefana Roweckiego ps. Grot.



W Sali Kolumnowej Sejmu RP odbyła się debata naukowa historyków pt. „Armia Krajowa – spojrzenie z perspektywy 80 lat”, przygotowana przez Muzeum II Wojny Światowej, którą poprowadził dr Robert Chudzik. Prelegentami byli: p.o. dyrektora Muzeum II Wojny Światowej w Gdańsku, prof. dr hab. Rafał Wnuk, dr hab. prof. UKEN Anna Zapalec, prof. dr hab. Jerzy Kochanowski i Sebastian Pawlina.

